

WYDZIAŁ WYDAWACTWA
WARSZAWY

Uniwersytetu Gdańskiego
Biblioteka

2495
CIV 9013

Cena zł 20 + 1 na fundusz dzieci „CARITAS”

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa, 15 lutego 1948 r.

Nr 7 (116)

TREŚĆ NUMERU: J. Dobraczyński – Na marginesie „Kantaty anielskiej”. M. A. Wasilewski – Ruiny chlebem pachnące. Przegląd brytyjski. J. Nowak - Dłużewski – Seminarium językoznawcze dla publiczności. S. Podlewski – Raz jeszcze „Starówka”. Recenzje. Saint Exupery – „Lot do gwiazd”. Wędrowki po scenach polskich. Z zagadnień gospodarczych. S. Kisielewski – Zbrodnia w Dzielnicy Północnej. Czytelnik uważa, że...

Wojciech Bąk

MAHATMA GANDHI

To się nie działo w legendzie. A przecież sam fakt jest tak porywająco piękny i nieprawdopodobny, że nigdy nie uwierzylibyśmy, by mógł on się stać w rzeczywistości. Szczególnie zaś w rzeczywistości naszego wieku. Wieku rozżartych nienawiści, grózb, szantażu. Jeszcze stoją nam przed oczyma obrazy upodlenia ludzkiego. Musimy odganiać od siebie natrętne wspomnienia szkieleatów ludzkich w obozach koncentracyjnych, popiołu zagazowanych i mydła fabrykowanego z ciała ludzkiego. Musimy całą siłą się bronić przed rozpaczą nad widokiem upodlenia rodzaju człowieczego. Miasta, w których żyjemy, krzyczą gruzami, oskarżając człowieka.

I nagle w tym wieku taka wiadomość. Nieprawdopodobna, fantastyczna w najwyższym stopniu – a jednak prawdziwa.

Człowiek jeden, starzec bezsilny, postem sprawia to, że dwa wielomilionowe narody, obiecują zaprzestać walki między sobą.

Jakbyśmy nie słyszeli o rzeczywistości, słuchamy tej wiadomości. Jakbyśmy otwarli księgę najpiękniejszych legend i czytali o smach najczystszych poetów, nie liczących się zupełnie z wymogami prawdopodobieństwa. Lzy, które z oczu nam płyną, są czyste i lekkie jak lzy radosne dzieciństwa. I zaczynamy z uśmiechem patrzeć w twarz przechodniów, bo jakże nie uśmiechać się do rodzaju, który wydał takiego człowieka. Zapominamy o wszystkim, co widzieliśmy – i dłoń nasza wyciąga się do ludzi z zaufaniem i serdecznością.

Wierzę, że to, co się działo w Indiach, jest największym zdarzeniem wieku. Może być, że oba narody znowu się pokłóca, ale nie zmienia to w niczym znaczenia tego faktu, który tak wysoką prawdę ludzkości obwieścił.

Mężowie stanu, generałowie, politycy, uczeni, artyści najgłośniejsi, wojny i zwycięstwa – wszystko to maleje w zestawieniu z tym faktem. Staje się mało ważne, nieistotne. Z perspektywy wieków najwyraźniej przyszłe pokolenia będą ten fakt widziały. Nasze cierpienia i radości, nasza sława i rozgłos okażą się znikomo marne wobec tego faktu. On przetrwa wieki, zachowywany przez wdzięczną ludzkość.

Gandhi przez swoje życie stał się żywą legendą ludzkości. Baśń stała się rzeczywistością. Ten człowiek przekreślił wszystkie sprycarskie, wyrachowane, przebiegłe metody – i osiągnął wyniki większe niż tłumy polityków, władców, mocarzy. Przecież wszystko, co on robił, było za-

przeczeniem rozsądku. Doktryna niestosowania gwałtów wydawałaby się jako narzędzie wyzwolenia kraju spod władztwa zaborczych, chłodno kalkulujących i nie wahających się użyć przemocy Anglików śmieszną i bezcelową. Przecież zagrożenie własną śmiercią głodową jako metoda uspokojenia zażarcie nienawidzących się narodów, nawet gdy ją stosował człowiek o takim autorytecie moralnym i nieposzlakowanej uczciwości, robi na pierwszy rzut oka wrażenie komiczne. Cóż znaczyć może – myślimy – śmierć jednego człowieka o najwyższej nawet powadze moralnej wobec splotu interesów, przekonań, nienawiści wielu milionów?

A jednak Gandhi zwyciężył. Są tacy, którzy mówią, że mogło się tak stać tylko w Indiach. Nie wiem. Jeśliby jednak tak miało być, to należałoby z wstydem przyznać swoją niższość umysłową i moralną. Uznać swoją niedojrzałość życiową, pokrytą tupeciarskim krzykiem i dziecinna reklamą. I poważnie pomyśleć nad naprawą naszej cywilizacji, która pozbawiła nas ludzkości.

Nie ulega jednak dla mnie wątpliwości, że obecność i działanie człowieka typu Gandhiego nawet w naszym środowisku miałyby ogromne znaczenie. Może nie stałby się fakt, który się odbył w Indiach – należy to raczej przypuścić – ale niewątpliwie nie minęłyby takie życie niespostrzeżone.

Sądzę tak dlatego, że Gandhi wydaje mi się ucieleśniać jedne z najgłębszych aspiracji całej ludzkości.

Tradycje narodów, święte księgi mówią o tym, że ludzkość stanowią na początku jedną rodzinę. W tym złotym wieku nie było gwałtu, lecz sprawiedliwość, wzajemna miłość i braterstwo. Dopiero później gwałt wystąpił. Ta wiara jest rzutowana przez ludzkość w przyszłość. U podstawy wszystkich kultur tkwi to pragnienie, niejasno nieraz sformułowane, opacznie pojęte, ale bardzo wyraźnie występujące. Nie można w ogóle zrozumieć historii bez uwzględnienia tego pragnienia. Społeczeństwa nie żyją tylko załatwianiem swoich bieżących spraw, działalność ich zawsze w mniejszym lub większym stopniu jest uzależniona od przyszłości. Bez tego motywu są one niezrozumiałe. U podstaw wszystkich kultur tkwi nie tylko dobrobyt i szczęście zastanej społeczności, lecz umożliwienie stworzenia społeczności doskonalszej, jednolitej i wolnej od zmyru wojen, gwałtów i zbrodni. Kto tego nie dostrzega, ten nie widzi w ogóle spraw ludzkich. Społeczeństwa są nawet skłonne do rezygnacji z wielu rzeczy w imię przyszłości ludzkiej.

Otóż Gandhi w naszym wieku najrepreszatywniej wyraża tę tęsknotę ludzką.

Wielkość jego polega na tym, że nie patrzy on na zjawiska okiem

współczesności, lecz widzi je źrenicą przyszłego, tego, który jest marzeniem ludzkości. To nie jest obywatel naszego wieku, lecz mieszkaniec nieistniejącego kraju, do którego ludzie świadomie lub nieświadomie dążą.

Jest on obywatelem kraju, gdzie różnice między ludźmi – rasowe, narodowe, społeczne rozplynęły się w poczuciu „rodzinnosci” całego rodzaju ludzkiego, gdzie mord, gwałt, podstęp są niedopuszczalne i niezrozumiałe.

Gandhi ma oparcie w tej wiecznej aspiracji ludzkiej, która każe pragnąć, by przyszłość była inna niż teraźniejszość, by była wiekiem złotym pogodzonej ludzkości.

To jest jego siła. I to jedynie tłumaczy, dlaczego dwa narody się pogodziły bez użycia siły, lecz pod wpływem jego autorytetu moralnego. Tak hindusi jak mużulmani nie widzą w Gandhim swojego zwolennika lub przeciwnika, lecz „przyszłego”, tego, dla którego wszyscy są członkami jednej rodziny. Gandhi odwołał się w nich do wiecznej aspiracji ludzkiej – i zwyciężył.

Tym samym stanął powyżej stron, będących w sporze, z uznaniem jego autorytetu przez nie. Że w tak wielkiej sprawie udało mu się tego dokonać, jest świadectwem chwalebny jego wielkości, szlachetności obu narodów i rzuca jasne światło na całą ludzkość. Rodzaj, w którym takie rzeczy są możliwe, nie jest

podły. Może szaleć, może spełniać groźne rzeczy, ale w naturze jego są założone olbrzymie rezerwy moralne.

Wielkość Gandhiego nie polega na tym, że głosił on przyszłość, lecz że był „przyszłym”. Legenda wieczna ucieleśniła się. Wykazała się możliwość istnienia potencjalnej ludzkości. „Przyszły” stanął wśród nas. Że warunki historyczne złożyły się na to, że w tak jaskrawym i wielkim świetle stanął „przyszły” przed nami, wzmaga tylko nasz zachwyt.

Staliśmy przed wstrząsającym widokiem ucieleśnionych najwyższych możliwości ludzkich. Jest to zjawisko tak wielkie, że wobec niego gasną wszystkie znakomitości świata, gaśnie nawet cała ohyda wojny, którą przeżyliśmy. Nie wątpię, że po wiekach, gdy ludzkość dawno o nas zapomni, a nazwiska najznakomitsze uwiędną w szpargałach bibliotecznych, nazwisko Gandhiego będzie żywe, może nawet żywsze niż obecnie.

Stanie się ono symbolem najwyższych możliwości ludzkich, dowodem, że takie możliwości są realne, że są skuteczne... A to jest przecież największym snem ludzkości, snem o ponownym „złotym wieku” ludzkości.

Niewiele takich nazwisk ma ludzkość. Przechowuje je z najgorętszym pietyzmem i zachwytem. One bowiem nie pozwalają jej zginąć w rozpacz, lecz ciągle nawołują do wiary i nadziei, że skończy się chaos, a rozpocznie kiedyś wielki Ład sprawiedliwości i miłości. Że ten Ład jest możliwy... że tylko od ludzi zależy, czy stanie się rzeczywistością.

Gandhi należy do całej ludzkości. To jest najwyższa miara ludzka.

I najwyższa miara wszelkich wartości. Bez niej wszystko się zwróci przeciw człowiekowi. Nauka, technika będą tworzyć coraz nowe możliwości. Czy one się okażą dobroczynne, czy też zwrócą się przeciw ludzkości – zależy od zachowania tej miary.

Gandhi nie jest chrześcijaninem formalnie, jest nim jednak w istocie. I słowa o chrzcie pragnienia najpiękniejsze zastosowanie przy nim znajdują.

Ten nieformalny chrześcijanin może zawstydzić wielu formalnych chrześcijan, bardzo wielu... Uczy on nie zgadzania się na zło; żąda walki z nim – ale metodami czystymi. W tym zaś w zakresie moralnym tkwi najistotniejszy sens chrześcijaństwa.

To był wielki chrześcijanin – wielki człowiek!

Wojciech Bąk

Wytyczne

WIELKI POST

Powtarzaliśmy już kilkakrotnie z tego miejsca, jak ważną sprawą jest współzycie z rokiem liturgicznym Kościoła. Ostatnia encyklika Ojca Świętego wzywa do tego także.

Niegdyś okres Wielkiego Postu w Polsce cechowała powszechna pokuta. Sprawiało to, że choć zdarzały się wysoki w życiu moralnym społeczeństwa, były one hamowane i wyrównywane przez ten czas pracy nad sobą. My, niestety, pokolenie dwóch wojen, doszliśmy do przekonania, że nie mamy ani czasu ani „nerwów” do pracy nad sobą. Usprawiedliwiamy – i żyjemy dalej, spychając – byle prędzej – każdy dzień. Nawet nie spostrzegamy, jak w tym beztroskim życiu słabnie nasza wola, jak nam coraz trudniej myśleć o jakimś dobrowolnym wyrzeczeniu się, o jakiejś – bodaj drobnej – ofierze. W czasie wojny wyrzekaliśmy się łatwo i prędko wszystkiego. Dziś nie wyrzekamy się żadnej słabości. Niczego.

Okres Wielkiego Postu to okres, przypomnienia o czterdziestu dniach pobytu Jezusa na pustyni. Na końcu tych czterdziestu dni mamy decydujący dla życia chrześcijaństwa tydzień Męki. Kościół, nie bez głębokiej myśli, zestawil te dwa odległe od siebie w życiu Chrystusa, a przecież łączące się ze sobą w syntezę wydarzenia.

Ta synteza winna i dla nas istnieć. Musimy odbudować w sobie siłę chcenia rzeczy moralnie najtrudniejszych. Musimy otrząsnąć się ze słabości. Kościół w Polsce zaleca jako taką pierwszą próbę woli walkę z pijaństwem, a nawet już nie z pijaństwem, które jest złem oczywistym, ale z tą jakąś atmosferą „popijania” przy każdej okazji, sprowadzania każdej rozmowy, każdego dowcipu do sprawy picia. Wydaje nam się ta próba – próbą ważną, jako coś wstępnego na pierwsze dni Postu – na ten czas rekolekcji i dorocznej spowiedzi.

Dm159/052

Jerzy Zawieyski w swym pięknym liście do „Katechumenów” („Kantata anielska” Tygodnik Powszechny nr. 4) staje na stanowisku, które określa się zwykle mianem stanowiska franciszkańskiego: przyjmuje w pełni dobrą wolę naszych ideowych przeciwników, przyznaje im cnoty i zalety (np. „Zarliwość Żółkiewskiego, gdy nie występuje jako polityk, lecz jako wyznawca”, budzić musi szacunek...), próbuje wytłumaczyć i tych, co z nami walczą i tych (t.zw. katechumenów), którzy za nami nie idą, tłumaczy jak szerokim i chionym jest „Kościół Powszechny” będący „bramą wejściową do Kościoła założonego przez Chrystusa”. Osóbście jestem głęboko zbudowany tym stanowiskiem. Mam jednak przede wszystkim pewne czyste zresztą formalne zastrzeżenia co do tej konstrukcji „Kościoła Powszechnego” i „Kościoła Chrystusowego” — zbudowanej przez Zawieyskiego — konstrukcji która wywołać może niepotrzebne zamieszanie dalekie od intencji Autora. Bo przecież: „Jeden jest powszechny Kościół wiernych...” (IV sob. Later., lecz „którzy nie znają prawdziwej religii, a nieznaną ta nie da się przewyciężyć, czy nie jest zawiniona, w oczach Boga, nie ponoszą żadnej z tego powodu winy” (Singulari quadam) i „w sposób niewidzialny otrzymuje chrzest ten, kto go nie otrzymał jedynie dla braku możliwości, a nie przez lekceważenie religii” (Sw. Aug. D. civ. D.), a także „ci, którzy pozostają w nieprzezwyciężonej nieznaności naszej świętej religii, ale zachowują starannie prawo przyrodzone i jego przykazania... mogą dostąpić żywota wiecznego” (Quanto conficiamur), jak również: „nie ochrzczony znajduje się po prostu poza Kościołem, choć przy pomocy Łaski Bożej, przez miłość może należeć do duszy Kościoła” (Katechizm proboszczów); wreszcie: „należy to do Opatrzności, żeby każdemu dostarczyć tego, co mu potrzebne do zbawienia, byleby człowiek nie stawiał przeszkód” (Sw. Tom. De veritate).

Konstrukcja myślowa Zawieyskiego, słuszna w swej treści pozornie może przypominać sprawę daleką od założeń autora „Rozdroże miłości”. Chyba w roku 1937 napisał K. L. Koniński w „Marcholcie” artykuł, w którym wzywał do wspólnego frontu wszystkich chrześcijan wszelkich wyznań: twierdził, że jedynym ideałem naszym powinien być ideał „spirytualizmu i idealizmu o typie chrześcijańskim”, ponieważ inteligencja polska hołduje postawie „jeśli nie konieczne dogmatycznej, to w każdym razie moralnej i metafizycznej”. Przeszkodą jednak takiego zjednoczenia są wyznawcy integralizmu katolickiego, rozmaite „ultrasy i zelanty chcący być bardziej rzymskimi niż sam Rzym”, na których czele Koniński zechciał wymienić mnie.

Koniński był człowiekiem tej miary, że ja, wówczas jeszcze młody publicysta, mocno byłem stremowany, gdy mi przyszło na ten atak odpowiadać. Zaczęłem od rozbioru dwóch tekstów ewangelicznych: „Kto nie jest ze Mną, przeciwko Mnie jest” (Mat. 12, 30) i „Kto nie jest przeciwko wam, z wami jest” (Mar. 9, 39). Według mnie, pierwszy tekst mówi: kto nie uznaje Boga — w dostępnej dla siebie formie — ten z Bogiem walczy. Ale kto nie walczy z nami t. zn. z katolicyzmem, z Kościołem — ten jest z nami. Bo nie można się mylić, tam gdzie chodzi o Boga, Tego Boga, którego „niewidzialne doskonałości... od stworzenia świata z dzieł Jego widzialnymi się stały” (Rzym. 1, 20) zaś

„Sam ten świat zarówno wspólnym porządkiem zmian i ruchów swoich, jak i przepięknymi kształtami wszechwzrostu rzeczy bezgłośnym niejako wołaniem woła, iż nie tylko uczyńcion jest, ale i nie mógł być przez nikogo innego uczynion, jeno przez Boga...” (Sw. Aug. D. civ. D.). Lecz człowiek zdolny jest zasłonić sobą wielkość dzieł Bożych i „nie brak nigdy i to bardzo wielu wewnątrz Kościoła takich, co dręczą serca pobożnie żyjących występny życiem swoim, bo przez nich bluźnione jest imię chrześcijańskie i katolickie” (Sw. Aug. D. civ. D.). Każdy człowiek z natury może i musi dążyć do Boga. Dążyć do Boga — pisałem wówczas — to jednak mało. Powiedzmy to sobie otwarcie, że kto wyciąga rękę do Boga, ten ulega istniejącemu w każdym z nas poczuciu słabości i pragnieniu znalezienia sobie oparcia, tym silniejszemu właśnie w czasach, gdy szaleństwo egolatrii i antropocentryzmu, które ogarnęło świat, pociągnęło za sobą szereg klęsk, boleśnie nas dotykających. Ale dążyć to mało. Trzeba wiedzieć jak dążyć...

Człowiek będzie zawsze dążyć nieznanemu — to jego prawo. Ale czynić tylko wówczas może — bez obawy utraty gruntu pod nogami — póki zachowuje związek z pewnym. Na czym ten związek polega? Na tym by zawsze ustosunkowywać się do swych odkryć nie jak ten, który szuka argumentów, aby zwalić podstawy wiary swojej i bliźnich. Dlatego też nie każda droga prowadzi do Boga dobrze lecz tylko ta, która uznaje i szuka oparcia w autorytecie Kościoła. Nie zapomnijmy — jak powiada Newman — że choć „nawet pozostawiony sobie rozum, gdy tylko służymy się nim poprawnie, prowadzi do wiary w Boga... ale obecnie... jak przedstawia się nam w życiu... istnieje w rozumie tak rozważnym wyraźna dążność do czystej niewiary w kwestiach religijnych. Żadna prawda na długą metę nie jest w stanie stawić oporu tej dążności i dlatego też w świecie pogańskim, w czasie przyjścia na ziemię Pana naszego, wygasł doszczętnie prawie wszelki ślad poznania religijnego... I za dni naszych w podobny sposób wszystko poza obrębem Kościoła Katolickiego chylić się zdaje z szybkością o wiele większą niż w czasach starożytnych... ku ateizmowi, w tej lub innej jego postaci” (Apol. pro vita sua).

Poza tą drogą pewną — drogą szeroką, jak szeroka jest natura człowieka, na której jest miejsce i na wąskie ścieżki skrupulantów i lękliwców i na rozmach odkrywczy umysłu, który, jak to kiedyś pięknie powiedziała Zofia Kossak „plywa swobodnie między daleko wbitymi palami dogmatów” — poza tą drogą los człowieka jest niepewny. „Boże uchwaj — pisze w „Singulari quadam” Pius IX, — byśmy mieli kłaść granice miłosierdziu Bożemu, które jest nieskończone!” Wielu z tych, którzy chodzą drogą własną w sposób niepojęty przyplynać może i to przed nami do jedynego Portu. Nam, szczęśliwym posiadaczom prawdziwej i pewnej drogi — starszym braciom syna marnotrawnego nie wolno tamtymi pogardzać. Cóż z tego, że wiemy? Tej świadomości nie zdobyliśmy ani pracą, ani służbą. Wiara jest nam dana za nic, za darmo. Cóż my wiemy dla czego inny tego daru nie otrzymał? Może dlatego, by „oczywiście okazały się w nim sprawy Boże” (Jan 9, 3)? A może dlatego abyśmy to właśnie my — my, a nie kto inny — byli narzędziem, który mu tę wiarę ofiaruje?

Podobno Koniński był zadowo-

Jan Dobraczyński

Na marginesie

lony z mego wystąpienia. Polemika ucichła. Przyznaję jednak, że moja ówczesna odpowiedź nie była żadną odpowiedzią na apel Konińskiego. Bronilem siebie, nic więcej. Apel o t. zw. „chrześcijańską odbudowę świata” trwał nadal.

Minęły lata wojny. Koniński nie żyje. Ale jego wezwanie jest dziś głośniejsze niż kiedykolwiek.

Mam wrażenie, że to hasło zjednoczenia wszystkich chrześcijan w jeden front przychodzi od Anglo-sasów, zwłaszcza z Ameryki. Kiedyś pisałem o charakterystycznym amerykańskim filmie „Paisa” w którym występują trzej przyjaciele i koledzy: ksiądz, pastor i rabin. Ostatnio wpadła mi w rękę świetna, najlepsza z książek jakie czytałem po wojnie, powieść A. J. Cronina „Klucze królestwa”. Te wzruszające dzieje katolickiego misjonarza w Chinach, książka w swym chrześcijaństwie bardziej porwująca niż książki Mauriac’a czy Bernanos’a, ma przecież niepokojące akcenty, jak choćby to zdanie: „Czy nie czas najwyższy, aby Kościoły zaniechały waśni pomiędzy sobą i... połączyły się?” (str. 316). Wezwanie do zrezygnowania z pewnych szczegółów dla osiągnięcia kompromisu przebiega świat. Styczeńowy „Przegląd Zachodni” cytuje przemówienie francuskiego biskupa połowego (?) Marcel Sturma na konferencji przedstawicieli zboru ewangelicznego (?) w Berlinie. Mówca miał wzywać do dalszego rozwoju ruchu ekumenicznego (?). Jednocześnie PZ pisze: „Z uwagi na przejawiającą się silnie tendencję do porozumienia protestancko-katolickiego (!?) znamienny będzie film „Straż nocna”, przedstawiający przyjaźń pomiędzy młodym teologiem ewangelickim a katolikiem. Podobnie w tonie przychylnym pisze w nr. 5 „Głos Katolicki” o współpracy katolików i protestantów w Niemczech nad realizacją... Quadregesimo anno. Ruch ekumeniczny — ruch będący próbą połączenia wszystkich sekt i herezji — nie jest rzeczą nową. Miał zawsze podbudowę polityczną. Jego orędownikiem na kontynencie były Prusy, na wschodzie — Anglia. Słynne konsekrowanie w 1841 r. anglikańskiego biskupa jerozolimskiego dla wszystkich wyznań na tamtejszym terenie miało przynajmniej jeden korzystny efekt, że doprowadziło do ostatecznego zerwania Newman’a z anglikanizmem.

Ale co to ma wspólnego z katolicyzmem? My, którzy mamy Kościół Katolicki, nie potrzebujemy walczyć o jakiś „kościół ludzkości” czy „kościół powszechny”. Rzecz oczywista podkreślałem to raz jeszcze, że nie o takim „kościół”, będącym rozwodnionym konglomeratem wiar i wyznań pisze Zawieyski Chodzi mi jednak, aby nie było nieporozumień, zwłaszcza tam, gdzie się pisze do ludzi stojących poza katolicyzmem. Nie my, ale oni powinni pamiętać, że gdy się mówi o kościele powszechnym, nie mając na myśli jedynie prawdziwego świętego Kościoła Katolickiego, Rzymskiego i Chrystusowego — mówi się o fikcji.

Tak, Kościół jest Kościołem tzn. Prawdą, od której nie może być ustępstw. Gdzieś powiedział Chesterton: „Człowiekowi trzeba przebaczyć 49 razy, błędowi nie można przebaczyć ani razu”.

„Kto według Boga żyje, musi nienawidzić złych tak doskonałą nienawiścią, żeby nie nienawidził człowieka dla błędu, ani miłował błąd dla człowieka, ale iżby nienawidził błędy a miłował człowieka” (Sw. Aug. D. c. D.) Kościół nie może być sojusznikiem jakiegokolwiek i powszechniejszej niż sam organizacji, ponieważ jest organizacją w zasięgu największą i najpowszechniejszą. W dziedzinie doktryny (jeżeli tym strasznie ludzkim słowem wolno objąć naukę Kościoła) katolicyzm nie zna tolerancji. Ewangeliczna „mama”, to nie tylko pieniądz. To wszystko, czym obejmujemy sprawę ziemską, a Bogu nie służące.

Idea katolicyzmu (znowu strasznie ludzkie słowo!) musi być czysta i musi być pełna. Prawda, że jest to raczej szkielet idei, „układ dogmatyczny niepełny” (Salamucha), ale ten szkielet nie może mieć żadnych zniekształceń. Jeżeli jakaś koncepcja nie mieści się w schemacie katolicyzmu, nie znajdzie się dla niej żadna forma kompromisu, choćby nawet byli ludzie łączący w sobie i katolicyzm i wyżej wymienioną koncepcję. Materializm nie wiąże się z katolicyzmem, choćby nawet byli ludzie, którzy wyobrażają sobie, że te ostateczności umieli w sobie związać.

Wydaje mi się, że każda idea musi mieć dwa kierunki działania: jeden — ciągłego wewnętrznego oczyszczania się, drugi — zdobywania sobie wyznawców. Nawet katolicyzm — będąc nauką nieomylnego Kościoła — musi się co pewien czas oczyszczać z ludzkich „dobudówek”. Ostatecznie schizmy i herezje rozpoczynały swój byt wewnątrz Kościoła. Otóż, niewątpliwie, katolicyzm, w ciągu wieków ostatnich, poreformacyjnych, więcej musiał walczyć o obronę czystości swej nauki, niż mógł walczyć o rozszerzenie swego stanu posiadania. Błędy były w ofensywie. Protestantyzm, kalwinizm, husytyzm, anglikanizm, jansenizm, katolicyzm, modernizm, fideizm, socjalizm (wydaje się to paradoksem ale i socjalizm jest herezją zrodzoną wewnątrz chrześcijaństwa), totalizm, liberalizm... W gruncie rzeczy, jak to słusznie powiada w swym „Antykościół” Papini wszystkie błędy przeciwko katolicyzmowi sprowadzić można do trzech zasad. Ale fala błędów przewaliła się w końcu. Najsilniejszym, najbardziej zwartym ideowo przeciwnikiem pozostał marksizm.

Okres walk o czystość nauki powstrzymał nieco rozwój przestrzenny Civitas Dei. Wielkie odrodzenie pod tym względem przy-

Marek Antoni Wasilewski

RUINY CHLE

Wracalem do domu, jak codziennie:

Wieczór, gwar, rzęsy kobiet...

Odlegle, cudze —

Kwiecień, październik, grudzień,

Zawsze tak samo: gwar, rzęsy kobiet, wieczór,

Ulica pełna przeczuć,

Jak wiersz.

Szedłem. Chwytałem cienie ulic.

Ten uciekł, inny przystanął, tamten skulił

Się, a najdziwniejszy był cień latarni,

Który niezdarnie

Doskoczył do muru,

Złamał się, a potem w górę,

Po ścianie, jak lunatyk

Piął się poziomo do dachu.

Niezwykły cień!

A ciebie już nie było.

Jak zwykle. Taka miłość

Na nby kończy się raz dwa...

Więc siedłem sam. Nie liczyłeś się już. Szedłem — ja!

Klepałem obcasami w chodnik.

Gdyby świat był butem, powiedziałbym: niewygodnie

Chodzić mi w tym świecie

I już. (ale nie wypadalo,

Byłem za młody, miałem za mało lat)

I co wtedy?

Odeszłaś. Czemu się dziwić?

Normalna rzecz. Jeśli w pokrzywie

Są kolce, można się ukłuć i sparzyć

Tak przynajmniej uważam.

Odwracam przeciw czasom

Lustro do góry nogami,

A w lustrze twarz, lub człowiek

Bynajmniej nie staje na głowie

I nie dziwie się.

Ale dzisiaj dziwiłem się bardzo.

Nie rozumiałem czemu mną gardziś

Jak kanarkiem, który dobry w klatce,

Lecz na wolności... Tak, tak... Ja czuję, patrze..

Odległość między nami była duża, wielka,

Jak między Venus z Milo, a butelką,

Lub mną, a torem gwiazdy najbardziej nieznaną

Tak, tak... Ja czuję, patrzę proszę pani...

Tak, tak... Patrzę i porównuję.

Szedłem dalej. Reparowano ulice,

Jak przystało na dobrze zburzoną stolice,

Która wyglądała, jakby przed godziną

Zły bóg skończył grać partię domino

Jej ceglami — i wyszedł.

Reparowano ulice, więc latarnia czerwona

Świeciła światłem ostrzegawczym do nas,

Do nas, to znaczy ludzi z Marszałkowskiej,

A wyglądała troszkę.

„Kantaty anielskiej“

nosi dopiero koniec wieku 19 i wiek 20. Kiedyś już pisałem, że z perspektywy placu świętego Piotra w Rzymie widzi się lepiej światowe a nie tylko europejskie horyzonty katolicyzmu. Z nową siłą wybucha w katolicyzmie potrzeba walki o człowieka. U nas w Polsce, obawiam się, nie zawsze się to rozumie. My wciąż żyjemy zasadą odrąbywania już nie tylko chorych ale po prostu pomówionych o chorobę członków. U nas aby móc się nazywać katolikiem, trzeba mieć niezliczoną liczbę certyfikatów prawomyślności, wydawanych przez ludzi, nie zawsze rozumiejących szerokość myśli katolickiej. U nas każda książka czy każdy artykuł musi być podręcznikiem apologetyki, bo zaraz się znajdują poprawiacze, którym nie wystarcza myśl katolicka ale którzy żądają całego wykładu.

Tym niemniej ta walka o człowieka zbliża się i do nas. Katolicyzm nie może żyć w okopach Św. Trójcy — katolicyzm, ta Prawda zapalona dla podpalenia całego świata. Nie chowa się świecy pod „korzec“, ani talentu na dno skrzyni. Katolicyzm musi być krzyczany z dachów. Kiedyś, w średniowieczu, katolicyzm szedł szukać pogan w dalekie kraje.

Dziś pogaństwo — jak powiedział Péguy — przyszło do nas. Można być krzyżowcem nie wychodząc z własnego domu. Więcej znajdujemy pogaństwa wśród nas, niż wśród pierwotnie żyjących dzikusów. Czas już najwyższy aby uświadomić sobie, że programem katolika musi być program misyjny. Odkrywanie nowych horyzontów myśli nie wiele przyniesie, jeśli jednocześnie nie potrafimy mówić o Bogu do tych, co żyjąc między nami, Boga nie znają. Równie ważny jest — a nawet ważniejszy — „Rycerz Niepokalanej“ jak „Tygodnik Powszechny“ czy „Dziś i Jutro“!

Walka o człowieka nie jest walką odwołującą się bez końca do argumentów intelektu. Jeśli powiedziałem, że przeciwnikiem ideowym jest marksizm, to nie myślę tutaj o „Kuznicy“, „Kuznica“ jest chora na to samo, na co my jesteśmy chorzy: na przerost powagi autorytetu. W ten sposób można dyskutować długo. Siła marksizmu nie mierzy się talentem Żółkiewskiego. Jeśli materializm marksistowski jest siłą biorącą, jeśli posiada dynamizm zdolny zdobywać ludzi, to dlatego, że wśród jego wyznawców są także — jacyś prze- ważnie mało znani peperowcy i

pepesowcy zdolni pracować dla marksizmu z całym oddaniem, z całym poświęceniem, bez myśli o sobie i bez demagogicznego frazesu. W walce o czystość idei decyduje oczywiście słowo. Ale w walce o człowieka decyduje czyn. Tylko czyn. „Rycerz Niepokalanej“ nie mógłby wygrać, gdyby pod jego drukarnią nie było krwi świętego — jakiegoś Kolbego...

Dla gorących, uczciwych przeciwników winniśmy mieć szacunek. „Złe heretyctwo — mówił niedługo Skarga — ale ludzie dobrzy, złe błędy, ale natury chwalebne, złe odszczepieństwo — ale krew miła, złe grzechy — ale krewkość użalenia godna jest!“ Lecz szacunku nie można okazywać z daleka. My byśmy chcieli, aby wszyscy w Polsce wierzyli tak, jak my wierzymy, ale chcemy, aby się to stało bez potrzeby naszej rozmowy z przeciwnikami. Po starszylachecku lubimy bić, nie lubimy przekonywać. Lubujemy się w druzgotaniu naszą Prawdą, zamykamy oczy by nie zobaczyć u drugich kawałka Prawdy. Naturalnie w ten sposób nie wiele można osiągnąć. I my też poza nadzieją na zdruzgotanie przeciwnika niczego innego nie oczekujemy. Tymczasem przeciwnika można zdobyć. Można — bo nie od nas to zależy. My tylko musimy chcieć. To tak łatwo pogardzać przeciwnikiem! To tak łatwo dać się unieść chęci zmiżdżenia go, ośmieszenia, „wykończenia“, zamknięcia mu ust. Gest „Kantaty anielskiej“ nie jest gestem łatwym. A jednak chciałbym się przed nim ugiąć. Choć, wyznaję, nie przychodzi mi to łatwo...

**

Dotychczas mówiłem wyłącznie o przeciwnikach. Nie jest rzeczą prostą ich zrozumieć. Ale gdy się już sobie nakaz zrozumienia narzuciło, sprawa staje się prosta. Lecz teraz chciałbym powiedzieć coś o „katechumenach“. „Katechumeni“ — to ci nieośnieni, czekający. Fatalna nazwa. Katechumenami w pierwotnym Kościele nazywano ludzi, którzy chcieli Prawdy i przygotowywali się do jej poznania. A więc ludzi najzupełniej zdecydowanych. Tym czasem Andrzejewski i Zawieyski nazywają tym mianem ludzi niezdecydowanych — tych — casus Andrzejewski — którzy wątpili w katolicyzm a nie są dostatecznie pociągnięci przez marksizm. Którzy chcą zachować w konflikcie pozycję trzecią.

Że nie są katolikami — trudno mieć tylko do nich o to żal. Świat cały byłby dziś katolicki, gdybyśmy byli lepszymi katolikami! To nie tylko do duchowieństwa odnoszą się bolesne słowa św. Teresy: „Bo czemuż to nie widać grzeszników gromadami na skutek usłyszanego kazania, jawnie grzechy swoje porzucających? Wasza miłość wie co myślę? Że to dlatego, iż ci, którzy im przepowiadają słowo Boże, są nadto roztropni. Nie pochłania w nich tej roztropności ludzkiej, jak pochłaniał w Apostołach wielki ogień miłości Bożej i dlatego ten płomień ich mało grzeje... (Vita) Ale trochę tego żalu mieć można. Świat dzieli się na gorących, zimnych i letnich. Zimny jest przeciwstawieniem gorącego, gorący na swój sposób. Ale letni nie jest ani zimny ani gorący. Jest — jak powiada Apokalipsa — budzącą mdłości obrzydliwością. Jest kimś, kto się nie umie do niczego zapalić, niczemu poświę-

cić życia. Każdy człowiek zna wahanie, ale wahanie nie może trwać bez końca. Trzeba umieć w pewnej chwili postawić na coś pełną stawkę.

Otóż ci „katechumeni“ wcale nie mają zamiaru postawić na coś życia i przyszłości. Oni wołają czekać. Wołają rozdmuchiwać tysiące wątpliwości. Wołają wznosić się ku coraz wyższym kręgom dialektyki, przecinać włos na czworo, szukać obiektywizmu, postawy mediatora, siedzieć okrakiem na barykadzie i na obie strony bimbać nogami. Kiedy ich spytać w imię czego to robią — odpowiadają, że w imię „liberalizmu“. Zawieyski ma rację: ci „katechumeni“ to prawdziwa „trzecia partia“. I może byłoby dobrze, gdyby taką „trzecią partię“ stworzyli, gdyby potrafili ją stworzyć. Ale w wielkim starciu ideowym między katolicyzmem a marksizmem nie widzą dla siebie miejsca. Więc przyćmiłi po jednej lub drugiej stronie barykady. Są „katechumenami“ nie z intencji ale z musu, nie z przekonania ale z interesu. Jeżeli chodzi o tych katolickich to stosuje się do nich doskonale powiedzenie Piaseckiego: „w średniowieczu ludzie kryli się w kościołach przed mordercami, dziś kryją się w Kościele przed trudnościami życia“. Gdybyż chociaż siedzieli cicho! Ale nie. Oni uważają, że są u siebie, że wypadła im wypowiadać się na wszystkie tematy życia katolickiego. Wystarczy, że Żółkiewski czy inny władca trybuny ryknie: „głupi Rycerz Niepokalanej“, by powiadali z zenującym uśmiechem: „on ma trochę racji ten Rycerz to nas naprawdę kompromituje... „To „nas“ jest czarującym. Wystarczy, że ktoś tam zaatakuje Majdańskiego — jedyne w Polsce człowieka, który bez względu na to jak oceniamy poziom jego argumentacji ma dowagę walczyć od lat o życie nienarodzonych, jedyne, który wykonuje dosłownie nakaz rzucony przez Matkę Bożą w Bonate — a już się nasi „katechumeni“ uśmiechają lekceważąco: „ach, Majdański, rzeczywiście... jest taki brutalny, należy go przestać drukować...“ Powiedzieć im, że katolicyzm ma dwóch przeciwników: marksizm i kapitalistyczny liberalizm, odpowiadają: już my wolimy mieć do czynienia tylko z tym drugim. A stosunek do literatury katolickiej? Marksisci nie zauważyli Grabskiego, więc i nasi „katechumeni“ go nie widzą. „Odrodzenie“ nie miało czasu przeczytać książki Gołubiewa, więc pewne katolickie pismo „literackie“ też nie miało czasu jej przeczytać. Ktoś tam gdzieś u przeciwników zakpił z Baka — i największy poeta uznany został za „niezrozumiałego“. Wysłała arcy potrzebna książka Paukszy, na dobitkę głęboko katolicka w tonie, — znalazło się pismo katolickich „katechumenów“, którzy nie mogą umieścić z książki recenzji, ponieważ Pauksza, pozał się Boże, ma nieszczęście pisywać gdzie indziej... W każdej dziedzinie życia katechumeni chcą kształtować katolicką opinię. Czasem wprost stawiają znak równania między t.zw. przez siebie „liberalizmem“ a katolicyzmem. Czasami robią to samo cicho. W gruncie rzeczy ich „liberalizm“ oznacza zasadę nie angażowania się zbytnio w swej wierze. Katolicyzm homeopatyczny. Broń Boże nie za dużo, bo jestem człowiek grzeszny. Prywatnie: i Panu Bogu świeczkę i... Ale głośno: nie ma katolicyzmu jak tylko nasz katolicyzm!

Zresztą jestem przekonany, że podobne są maniery „katechumenów“ zza barykady: w kole przyjacieliskim: no, tak, marksizm jest kłopotliwą doktryną... no tak, nie wszyscy u nas mówią mądrze... Ale z trybuny, z krzykiem: tylko nasz marksizm, tylko my!

Muszę wyznać, że problem „katechumenów“ wydaje mi się problemem znacznie trudniejszym niż problem ideowych przeciwników. Daleki jestem od sądenia, iż letniość nie jest największą z pokus czyhających na człowieka. Letniość grozi wyznawcom każdej wielkiej idei, nie wyłączając katolicyzmu. Gdyby katolicyzm był tylko jedną z wielkich doktryn społecznych już by dziś nie istniał: zostałby rozłożony przez mierność i nędzość katolików. Ale katolicyzm jest Prawdą; ma nieomylną naukę Kościoła, ma sakramentalne źródła łaski, i ma świętość. My, katolicy, wierzymy w dogmaty i w nieomylność Kościoła i to nam nie sprawia nieprzewyciężonej trudności. „Rzecz prosta — pisał po nawróceniu Newman — daleki jestem od twierdzenia, że wszystkie artykuły chrześcijańskiego Credo, czy to w ujęciu katolickim czy protestanckim, przyjąć można bez trudności intelektualnych; stwierdzam jedynie co do siebie, że trudności tym udało mi się sprostać. Wiele osób jest bardzo wrażliwych na trudności religijne; sądzę, że nie jestem od nich mniej wrażliwy, ale nie rozumiem związku między lekkiem przed tymi trudnościami i skłonnością do ich pomnażania, a zwątpieniem w doktrynę, z którą są związane. Dziesięć tysięcy trudności nie czyni jeszcze jednej wątpliwości — moim zdaniem. Trudność i wątpliwość jest czym innym“. (Apol. p. v. s.).

Dopiero gdy wierzymy, dany jest nam widzieć cud Sakramentów. A skoro do tego cudu się zbliżymy, wolno nam ufać, że, zspoliwszy swoje siły z potęgą Łaski, pójdziemy ku drodze, która wiedzie ku jedynie rozsądnej konsekwencji wiary i Łaski — ku świętości. Ludzie z zewnątrz mogą się ugiąć pod trudnościami wiary, mogą być ślepi na oczywistość Łaski — nie mogą jednak nie zobaczyć świętości. My chcielibyśmy by wiara sama przekonywała niewierzących aby w Hostii każdy — obcy wierze — ujrzał Chrystusa. Lecz pedagogika Boża rzadko chce wystąpić w formie „Deus ex machina“. Żąda ona, by znakiem dla niewierzącego był wierzący, dla nieprzekonanego — święty. My mamy być świadkami wiary. Mamy sobą przekonywać przeciwników i porywać wahających się. Zbyt często ostatnio zdarza nam się iść na przeciwników, niosąc przed sobą — niby bagnet, — oczywistość naszej wiary. Błędna zasada, zasada nie nasza! Nie wielu ludzi zdobywa wiarę w teoretycznej dyspacie. Ludzi nawraca świętość. Przede wszystkim świętość.

Ojciec przebaczył synowi marnotrawnemu. My — jego starsi bracia — my bogatsi w nieustanną bliskość Ojca, nie mamy bratu co wybaczać. Dajmy spokój z wybaczeniami. My musimy tylko kochać — i sami być inni. To takie stare i takie zasadnicze w katolicyzmie. A przecież nowością stanowiska Zawieyskiego jest to, że nie próbuje zmiążyć „niecałą Prawdę“ przeciwników przewagą swej „całej Prawdy“. Nowością, wielkością i wspaniałością. Taka postawa zawstydyza i budzi zazdrość. Tak, tylko tak można walczyć o rzecz najważniejszą w świecie: o jedną duszę ludzką. Bo o to przecież chodzi. O duszę swego i obcego. Samarytania i poganina, celnika i faryzeusza, przeciwnika i „katechumena“. O to toczy się walka: o zwycięstwo w każdym poszczególnym wypadku.

Gra idzie o duszę ludzką. Wojują przeciwnik, czy leniwy „katechumen“, — każdy z nich jest duszą, za którą została zapłacona Cena bez ceny.

Jan Dobraczyński

BEM PACHNAĆCE

K. I. Gałczyńskiemu

Jak pod światło spodeczek pełen konfitur,
Lub pomadka do ust, w nocy. Ot tak, ni to ni to.
W każdym razie świeciła jasno,
Aż mignęła głupio i zgasła.
Parbleu!

Trzeba trafu, że na tę chwilę
Wpadł jakiś niebieski ptak, czy motylek
Ze swoją ptaszyną, czy motylicą.
Trafił i — wpadł nogą w dziurę. Rozkwasił sobie łco.
Mocno grzmotnął. Aż mu siniak na twarzy posiniał.
Lecz nie żałowałem go, bo to świnią
Była ostatnia ten niebieski ptak.
Popenił jeden takt (że wpadł), lecz nie jeden nietakt.
I to go właśnie zgubiło w mych oczach,
Dla tego tak się na niego boczę.
Co robić?

Mógłbym obrazić świat
Szedłem dalej,
Aż do rogu Alej,
Gdzie wysoko na chmur wybrzeżu
Opalał się księżyc i zęby szczyrzył
Do całej Marszałkowskiej.
Nie widziałem go. Miałem inne troski.
Na księżyc byłem ślepy jak chłopiec z harmonią.
(Nigdy bym się księżycu opisać nie podjął:
Za trudne,
Za nudne,
Za złote
I jak na taką robotę,
Zbyt oklepane,
A nad ranem białe i nazbyt okrągłe.
Sami rozumiecie, nie mogłem
Opisać księżycu).

W końcu mojej podróży doszedłem do pomy, Chociaż byłem po drodze tak bardzo zajęty
Dziewczyną, latarką, księżycem i cieniami
Poczułem... — Świat mi w uszach zamilkł.
Chleb pachniał. Zwąchałem pismo nosem.
— Proszę o ciszę — ryknąłem. — Cisza, proszę!!!
„Ciąnęli wszyscy na głównej ulicy

„Ciepikarz, oszuści, ciotki, rzemieślnicy...
(Zresztą, nie będę wymieniał ich wszystkich z zawodu,
Bo nie jestem Gałczyński'n. Psiakrew! Wielka szkoda!
Gdybym nosił imię... Przebóg!... Ildefonsa
I każdy by się ze mnie kto chciał mógł natrzasać,
Je nie stworzyłem Boskiej Komedii,
Lbo conajmniej Poetyckiej Encyklopedii — i tyle!)
Wydałem pierś i rzekłem: — Panie i panowie, przepraszam,
lecz niechcący
Zauważyłem, że te ruiny, to ruiny chlebem pachnące.
I poszedłem do domu.

W kraju...

WAŻNA ODPOWIEDŹ

31. Sprawa trwałości naszego trójsektorowego modelu gospodarczego była już niejednokrotnie przedmiotem dyskusji publicznych i z wciąż wzrastającą siłą absorbuje umysły polityków oraz bezpośrednio zainteresowanych obywateli. Przyszłości my się, że wszelkie dotychczasowe sugestie, podające w wątpliwość zachowanie podziału na trzy sektory, wypływały z kół mniej lub więcej związanych z tzw. inicjatywą prywatną. Czynniki oficjalne ograniczały się jedynie do odparowania zarzutów jakoby sektor trzeci miał być w najbliższym czasie eliminowany. Uznano jednak widocznie, że do przełamania nieufności sceptyków trzeba podejść w sposób rokujący większą skuteczność i oto na Sejmowej Komisji Planu Gospodarczego, dyskutującej plan inwestycyjny Ministerstwa Zdrowia poseł Jędrzychowski reprezentujący PPR, podjął się „mało dziś wdziecznej roli obrońcy interesów inicjatywy prywatnej. — Kiedy pos. — Mitura ze Stronnictwa Ludowego domagał się jak najszybszego upaństwowienia aptek — pos. Jędrzychowski stwierdził, iż, wnioski te są zbyt daleko idące, gdyż dążą do zmiany naszego modelu gospodarczego. To, że apteki znajdują się w rękach prywatnych nie jest bowiem przypadkiem, a czynniki rządowe absolutnie nie dążą do radykalnych przesunięć, które w obecnym okresie historycznym miałyby zmienić nasz model gospodarczy. Państwo, skupiając w swych rękach wielkie obiekty, ma możliwość oddziaływania i kontroli na cały sektor prywatny — mówił pos. Jędrzychowski — i jedyne co należy zrobić to precyzować środki regulacji i kontroli”.

— Jakże dalekośmy zaszli. Przedstawiciel skrajnej lewicy musi bronić interesów sektora prywatnego przed demagogicznymi atakami reprezentanta stronnictwa chłopskiego... W ostatnich czasach periodyki brytyjskie poświęcają wiele uwagi

6.11.48.

Czy jest już w parafii BIBLIOTEKA DOBREJ KSIĄŻKI?

Oto pytanie, które dzisiaj powinno być na ustach każdego zdającego sobie sprawę z tego, czym jest w życiu człowieka książka, zwłaszcza dobra książka. I na to pytanie trzeba znaleźć odpowiedź pozytywną. Jeżeli więc jeszcze taka biblioteka nie powstała, to trzeba ją jeszcze dzisiaj założyć.

Po instrukcje i katalog, oraz wszelkie pomoce, jak karty biblioteczne, oprawy do katalogów itd. można się zwrócić do specjalnie założonej w tym celu Księgarni Wyszykovo-Wydawniczej BIBLIOTEKA DOBREJ KSIĄŻKI. Warszawa, Rakowiecka 41. która postawiła sobie za zadanie dotrzeć do każdej parafii i pomóc w założeniu i prowadzeniu BIBLIOTEKI. Między innymi, kiedy ludzie na wieś nie umieli czytać. Dzisiaj wszyscy garną się do książki i dlatego w każdej parafii musi powstać BIBLIOTEKA DOBREJ KSIĄŻKI, aby ludzie nie tracili czasu na czytanie książek bezwartościowych i nie zaśmiecali sobie nimi umysłów. DOBRA KSIĄŻKA to najlepszy przyjaciel, najmądrzejszy doradca, i najcierpliwiejszy nauczyciel. Czytajcie więc jak najczęściej, zakładajcie biblioteki parafialne, ale czytajcie tylko sprawdzone książki — dobre.

Czytanie

„SŁOWO Powszechne”

PRZEGLĄD BRYTYJSKI

roli państwa w twórczości kulturalnej narodu.

W trosce o przyszłe losy i pozycję W. Brytanii przeprowadzają bardzo staranną analizę tych zagadnień, bardzo różnie ją zresztą, oceniając.

W miesięczniku „FORTNIGHTLY” znajdujemy artykuł, który informuje o stanie nauki w W. Brytanii, zwraca uwagę na trudności i daje wskazówki dla jej przyszłego rozwoju. Ostateczną konsekwencją rozważań jest stwierdzenie, słuszne nie tylko dla W. Brytanii, że jeśli kraj chce odgrywać poważną rolę, zależy to w wielkiej mierze od jego wkładu do ogólnego dorobku w dziedzinie nauki.

Autorem artykułu jest W. T. Wells, członek Parlamentu i Komitetu, który ma zadanie opracować raport w tej dziedzinie dla sesji parlamentarnej.

Wells szuka przyczyn, które spowodowały, że W. Brytania zajmując niegdyś naczelną miejsce w rozwoju nauki, dała się wyprzedzić innym narodom, a przede wszystkim Stanom Zjednoczonym, zwłaszcza w zastosowaniu osiągnięć do konkretnych potrzeb.

Rozpatrywanie tych zagadnień nakazuje dzisiejsza sytuacja ekonomiczna. Podniesienie standardu życiowego, udoskonalenie przemysłowych urządzeń, oszczędność w metodach produkcji i lepsze użycie materiału zależy od realizacji wniosków z tych rozważań.

Została utworzona w W. Brytanii „Advisory Council on Scientific Policy (Rada dla prowadzenia polityki naukowej), której celem jest zarówno określanie zadań państwa w dziedzinie polityki naukowej, jak i przeprowadzanie jej w zależności od ekonomicznych problemów kraju. Zadaniem Rady jest również ustalenie i utrzymywanie równowagi pomiędzy finansowaniem „nauki czystej” i „wiedzy stosowanej”.

Raport Komitetu, którego Wells jest członkiem stawia szereg rzeczowych pytań w stosunku do badań inspirowanych przez państwa:

- 1) czy sumy przyznawane nauce „czystej” są w rozumnej proporcji do przeznaczonych na prowadzenie i rozwój badań „stosowanych”?
- 2) czy sumy wydawane na prowadzenie obu powyższych rodzajów badań są dzielone w prawidłowym stosunku pomiędzy działami cywilnym i wojskowym?
- 3) czy zrobiono wszystko, aby poprawić jakość i zwiększyć ilość kończących studia?
- 4) czy odpowiednia ilość z tych, którzy studia kończą będzie mogła być skierowana do państwowych prac naukowych?

Aby mieć obraz działalności rządu, trzeba pamiętać, że w W. Brytanii badania inicjowane i finansowane przez państwo nie są jedynym. Raport Komitetu analizuje:

„Te badania naukowe, które są często określane jako „fundamentalne” czy „czyste” — (t. zn. badania prowadzące postęp wiedzy bez względu na to, jak wiedza może ostatecznie być zastosowana do praktycznych potrzeb człowieka) — są prowadzone na uniwersytetach i niezależnych instytucjach naukowych z pomocą lub bez pomocy Ministra Skarbu. Badania bezpośrednio inspirowane przez rząd przeważnie rozwiązują problemy, które mniej lub bardziej bezpośrednio odnoszą się do zadań, za które państwo ponosi odpowiedzialność, oraz stosowują do tych problemów wiedzę osiągniętą przez badania „fundamentalne”. Poza tym w dziedzinie naukowej przemysł, a ściślej mówiąc wielkie koncerny wyraźnie składają świadczenia, a prawdopodobnie w przyszłości coraz większe, na rzecz rozwoju wiedzy i zastosowań.”

Budżet w tych dziedzinach na rok 1947 — 48 w oświetleniu Rady dla prowadzenia polityki naukowej:

„osiągnął w całości sumę ponad £. 69 milionów. Z tego ponad 60 milionów podzielono między mary-

narke i ministerstwo zaopatrzenia, które jest odpowiedzialne za uzbrojenie i wyekwipowanie Armii i Królewskich Sił Powietrznych. W czasie, gdy naszym najpilniejszym zadaniem jest poprawa stanu ekonomicznego, widoczna rozpiętość między wydatkami wojskowymi i cywilnymi woła o surowe rozpatrzenie. To prawda, że rozbieżność jest mniejsza niż sugerują cyfry. Ministerstwo zaopatrzenia odpowiedzialne jest za badania nad energią atomową u której możliwości dla celów pokojowych jesteśmy zaledwie na progu.”

Trzecie zapytanie: „Czy zrobiono wszystko, aby poprawić jakość i zwiększyć ilość kończących studia uniwersyteckie”, należałoby rozbić na dwa odrębne:

a) „czy uniwersytety otrzymują pomoc, by rekrutować właściwych studentów w liczbie wystarczającej?”

b) „czy otrzymują wystarczającą pomoc dla kształcenia ich?”

Wg. Wells'a znany jest niski procent ludności W. Brytanii o ukończonych wyższych studiach w zestawieniu ze Stanami Zjednoczonymi lub zachodnimi krajami Europy, i to musi być zmienione.

Odnosnie systemu stypendiów stwierdzono zbyt często selekcję ze względu na poziom zamożności studenta.

W rezultacie zostało ustalone, że

„Podwojenie ilości naukowców i technologów w ciągu najbliższych lat dziesięciu staje się zagadnieniem pierwszej wagi, i te dane są ogólnie uznane, jako obowiązująca ocena minimum naszych potrzeb.”

Wydaje się, że dane te są obowiązującą oceną nie tylko dla Komitetu, nie tylko dla W. Brytanii, ale wyrażają konieczność olbrzymiego wysiłku u wszystkich, którzy nie chcą być tylko konsumentami.

Ocenianie wszystkich trudności technicznych, jakie wynikną z powiększenia ilości uczących się doprowadza do tego, że Komitet bierze pod uwagę, że w okresie poprzedzającym wybudowanie pomieszczeń dla uczących się i uczących

„jest co najmniej pytaniem, czy nie trzeba użyć siły dla rekrutowania mieszkań w ośrodkach uniwersyteckich, zanim będzie osiągnięte bardziej zadawalające rozwiązanie.”

W związku z postawieniem problemu, czy uniwersytety spełniają swoje zadanie dając typ wykształcenia zgodnego z wymaganiami warunków współczesnych, Komitet proponuje, by tam

„gdzie brytyjskie uniwersytety jako całość wyraźnie pozostają w tyle za podobnymi w innych krajach, i gdzie istnieje gwałtowne wymaganie sytuacji krajowej, jak to dotyczy technologii „wiedzy stosowanej” — tam państwo musi wyraźnie interweniować i podjąć kroki, by wypełnić lukę.”

W zakresie realizowania założeń Komitetu Wells widzi szereg trudności, m. in.:

„Poważnym zagadnieniem są badawcze możliwości drobnego przemysłu.

Dziedzina ta nigdy nie była zanedbaną, ale ponieważ mniej więcej 3/4 koncernów krajowych zatrudnia mniej niż 300 robotników, problem ma zasadnicze znaczenie.”

Wiele gałęzi przemysłu ma własne instytucje badawcze, które organizują prace różnego rodzaju i użyteczności; jednakże dawniej zadanie to dobrowolnie podjęte, było hamowane: niechęcią mniejszych fabrykantów do dzielenia się tajemnicami i ich awersją do opodatkowania się na rzecz finansowania działalności, którą czasami uważali za zbędną.”

Stąd zadaniem rządu jest skierowanie uwagi na organizowanie badań w zakresie drobnego przemysłu, którego rozwój jest zupełnie zasadniczą sprawą dla narodowego stanu posiadania. Drugie — dysproporcja między wydatkami na rzecz badań w dziale militarnym winna być zredukowana w najbliższym momencie

możliwym ze względu na bezpieczeństwo narodowe. Trzecie, to zadanie ustalenia nowego stosunku pomiędzy nauką i technologią.

I wreszcie, osiągnięcie wyrównania finansowego dla twórców w dziedzinie nauki „czystej” w stosunku do lepiej płatnych stanowisk w przemyśle.

×

„LOS 60.000 STUDENTÓW SZKÓŁ ARTYSTYCZNYCH”

Ocenę perspektyw malarstwa we współczesnym państwie daje londyński miesięcznik „Horizon” (do którego nie tyle treścią ile formą zbliżona jest cyfelnikowska „Twórczość”) w artykule Herberta Reada „Los współczesnego malarstwa”.

Przejęcie dawnej roli mecenasa sztuki przez współczesny aparat państwowy jest zasadniczym punktem wyjścia jego rozważań.

Malarzom przeciwstawia poetów. O poetach pisze, że szybciej od malarzy przystosowali się do nowych warunków. Poeta

„zwykle bierze posadę w banku, albo biurze wydawniczym i pisze wiersze w autobusie, albo w czasie week-endów.”

Można by do tego dodać parę innych możliwości, a przede wszystkim placówką dyplomatyczną, które niejednemu Lechoniowi dały życie.

W warunkach, kiedy poza Stanami Zjednoczonymi nie istnieje praktycznie prywatny mecenat sztuki malarze żądają od państwa, by przejęło na siebie ten obowiązek. Zresztą nie tylko oni. Żądają zainteresowani tą sprawą krytycy, historycy sztuki, socjologowie.

Cytowany przez Read'a raport żądający całkowitego patronatu Państwa w dziedzinie sztuk plastycznych określa go:

„Rząd powinien także utrzymywać malarzy i rzeźbiarzy zakupując ich prace do zbiorów narodowych i zamawiając je dla celów specjalnych. Rząd powinien naznaczać artystów do dekorowania gmachów publicznych, albo wprowadzić ustawę, w rodzaju tej, jaka jest w Szwecji i innych krajach, gdzie istnieje wymagania, aby pewien procent kosztorysów budowli przeznaczonych na dekorowanie go przez artystów. Pomoc powinna być tak kierowana, aby popierać obiecujących młodych malarzy i rzeźbiarzy w trudnych latach pomiędzy opuszczeniem college'u i ustabilizowaniem się.”

Ocenę patronatu państwa nad sztukami plastycznymi można ustalić po rozpatrzeniu trzech punktów:

1. Obecny system patronatu państwowego kto w rzeczywistości jest mecenasem, w jaki sposób dokonywa się wyboru.

2. Konsekwencje patronatu państwa w stosunku do zakupionych dzieł sztuki — co się z nimi dzieje, jaki jest ich wpływ na publiczność.

3. Skutki patronatu państwa na osobowość i twórczość artysty.”

W praktyce państwowy patronat sprawada się do oceny jednostki w trybie administracyjnym, czy też przez specjalnie powołany komitet.

Komitet wybiera albo „coś co nikogo nie obrazi”, albo

„wszystkiego po trochu, aby wszystkim dogodzić”, albo

„komitet ... pozwala jednemu z członków uczynić wybór za wszystkich; z rozpaczy rezygnuje ze swoich funkcji.”

„Państwo jako mecenas jest, niestety, w swych urzędniczkich zmianach i w bardzo krótkim czasie kolekcja nowoczesnych prac zbieranych przez państwo czy zarząd municypalny odznacza się brakiem jakiegokolwiek powiązania; jest po prostu mętna.”

Jedną z zasadniczych przyczyn jest konieczność wprowadzania czynności aparatu administracyjno-urzędniczego. Od jego ocen niesposób wymagać tradycji artystycznej, tym bardziej, że Read bardzo nega-

tywnie ocenia stosunek współczesnego człowieka do dzieł sztuki:

„Nie oszukujmy się, przeciętny człowiek, taki, jakiego rodzi współczesna cywilizacja jeśli brać pod uwagę jego przeżycia estetyczne — po prostu nie żyje, może on uprawiać sztukę jako „kulturę”, jak paszport do bardziej ekskluzywnych kół towarzyskich może przynosić sobie oklepiane maniery zachwyty, akcent rozumienia, ale nie jest on poruszony, nie kocha, doznanie go nie przemienia; swego sposobu bycia nie zmienia, nie wyszedłby z galerii sztuki i nie odrzuciłby ze swych własności tego co brzydkie, nie opuściłby obrzydliwego domostwa, nie zburzyłby Bastylli, gdzie uwięzione leży Piękno.

On ma więcej rozsądku, jak powiadamy.”

Niebezpieczne dla osobowości artysty są skutki patronatu państwa. Pracując z nadzieją dotarcia swymi dziełami do smętnych lub wspańniętych galerii — musi się liczyć artysta z gustem urzędnika lub urzędników.

„W państwach, gdzie malarz musi zważać na ideologię i przesady partii rządzącej” jest jeszcze bardziej demoralizująca machina biurokratyczna.

W dalszym ciągu swego rozumowania dowodzi Read, że na skutek ekonomicznych i socjalnych przyczyn zanika rodzaj malarstwa „pokojowego” i usiłowanie ożywienia go przez patronat państwa mijają się z celem.

Mijają się z celem uczenie 60 tysięcy studentów szkół artystycznych W. Brytanii w przeważnej mierze malarstwa stalugowego, co Read uważa za ludzenie w kierunku zamiatania, które się przeżyły i doprowadzać mogą tysiące młodych ludzi tylko do rozczarowań, ubóstwa i załamania.

W rozważaniach swoich przesuwa punkt ciężkości na zmianę systemu wychowawczego w dziedzinie przeżyć estetycznych. Pisze:

„Zacząć trzeba od szkół początkowych. Zmienić metody nauczania... tak, by wrodzona zdolność przeżywania piękna nie była zastąpiona kładzeniem łopata do głowy posegregowanych, oklepanych formułek — wówczas, będzie materiał ludzki z którym można coś zrobić.”

Taka młodzież

„może się wprawiać w technice produkcji, spokojnie ją można uczyć jak używać narzędzi i maszyn, gdyż ich wrażliwe palce i żywe umysły nie będą zdolne do tworzenia lub przyjmowania rzeczy tak obrzydliwych jakimi się teraz zadawalały. Część z nich uczyć będzie można projektowania w dziedzinie produkcji przemysłowej i architektonicznej. Innym powierzać będzie można zadania tak specjalne i tak wypracowane w szczegółach, jak te, które otrzymywali artyści Średniowiecza. Po długim okresie czasu, wtedy może powstać sztuka równie potężna jak średniowieczna.”

A jeśli ktoś koniecznie chce ustawić stalugi i pracować nad obrazem to „świećcie, czemu nie, jeśli czujecie powołanie”, ale przypomina:

„tylko nie oczekuj od twych sąsiadów płatników podatkowych by Cię utrzymywali podczas gdy ty pograżasz się w wysiłku, który nie ma obecnie żadnego uzasadnienia ekonomicznego.”

N O W O S C

Leopold Tyrmand

„HOTEL ANSGAR”

str. 184 zł 380.—

...serce we mnie zamarło. Leżałem bez ruchu, zamieniony w słuch...

KSIEGARNIA

ZDZISŁAW GUSTOWSKI

do nabycia

we wszystkich księgarniach

Juliusz Nowak - Dłużewski

Seminarium językoznawcze dla publiczności

Wydana niedawno historia języka polskiego prof. Tadeusza Lehr-Splawińskiego*) nie jest oczywiście nowym w polskiej literaturze naukowej i ma sporo poprzedników. Można tu wymienić prace Aleksandra Brücknera, Jana Baudouina de Courtenay, Stanisława Siońskiego. Popularyzacji zagadnień historyczno-językowych w zakresie polszczyzny służyły wyborne, na wysokim poziomie naukowym stojące tomiiki Biblioteczki Tow. Miłośników Języka Polskiego oraz takie samo czasopismo Język Polski (wznowiono je po wojnie). Historię języka polskiego, na poziomie potrzeb uniwersyteckich obejmowała akademicka Gramatyka języka polskiego z szeregiem prac najwybitniejszych językoznawców polskich z J. Rozwadowskim na czele, oraz parę obszernych tomów Łosia wraz z jego Krótką gramatyką historyczną języka polskiego. Było w czym wybierać i uczyć się! Ostatnia praca prof. Lehr-Splawińskiego poziomem traktowania przedmiotu przypomina brücknerowskie „Dzieje języka polskiego“ i tak jak one służy wprowadzeniu w elementy wiedzy o polszczyźnie historycznej przeciętnie wykształconego ogółu czytającego, tj. ludzi, których przygotowanie językoznawcze nie przekracza zakresu programu szkoły średniej. Tak nas o poziomie i charakterze swej książki informuje autor w przedmowie. Nie orientuje się dostatecznie, jak wyglądało nauczanie języka polskiego w przedwojennej szkole średniej poza Warszawą, ale myślę, że było takie jak w stolicy, to znaczy, że maturzyści wyносили z niej dobre i ugruntowane wiadomości w zakresie opisowej gramatyki współczesnego języka polskiego, ale że z elementami gramatyki historycznej było gorzej. Wina leżała trochę po stronie polonistów, którzy na ogół woleli dyskutować z uczniami o problematyce żywota człowieka pocztowego Reja, niż zagłębiać się z nimi w zawile arkana końcówki miejscownika rełowego na — och. To było kłopotliwe. Było trochę winy również i po stronie uczniów, którzy się sprawami języka nie entuzjasmowali. To było nudne.

Wydaje się — właśnie ze względów wyżej wyłożonych — że książka Lehr-Splawińskiego nie natrafiła w naszym ogóle czytelników kulturalnych na przewidywaną przez jej autora nadbudówkę w jego wykształceniu językoznawczym i że jej rola z konieczności będzie musiała być pionierską: będzie musiała znanymi nam ogół czytelników z fundamentalnymi rudymentami historycznej wiedzy o języku polskim. Myślę, że rolę tę spełni ona z powodzeniem. O ile oczywiście ogół nasz zechce w sposób nieco powszechniejszy skorzystać z tej książki. Dla pogłębienia swego poglądu na dzieje naszej kultury w ogóle. Trzeba to od razu na początku z naciskiem podkreślić. Należy rozprawić ogólnie panujące u nas mniemanie jakoby znajomość wiedzy o języku w jego rozwoju historycznym — choćby na stopniu najwięcej elementarnym — była sprawą natury akademickiej, oderwaną od życia i jego spraw realnych. Są to powszechnie chyba wyniesione urazy jeszcze z ławy szkolnej. Spotkałem się z nimi niejednokrotnie wśród ludzi wysokiej nieraz klasy kulturalnej.

*) Tadeusz Lehr-Splawiński. Język polski. Pochodzenie, powstanie, rozwój. Biblioteka Wiedzy o Polsce. Wydawnictwo Stan. Arcta w Warszawie 1947.

Dla ich zneutralizowania — parę argumentów.

Weźmy dla przykładu sprawę wyrazów obcych. Ocieramy się o nie raz wraz w mowie codziennej. Pożytki słownikowe z jęz. łacińskiego, niemieckiego, włoskiego, francuskiego i in. są świadectwem pewnych charakterystycznych etapów rozwojowych nie tylko języka, ale jednocześnie naszej kultury.

Historia pożyczek wyrazowych to ładny kawał historii, zapisanej w mowie codziennej Polaka. Pisali o tym już dawno Al. Brückner i Gabriel Korbut (ten Baedeker, jak mi sam o sobie kiedyś w swej skromności powiedział, mając na myśli swą literaturę zawołany i wszytkowiedzący, jak się okazuje, przewodnik nie tylko po najtajniejszych zakamarkach naszej przeszłości literackiej). Sporo wiadomości o wpływach języków obcych na język polski zawiera również książka prof. Lehr-Splawińskiego, który najwyraźniej stwierdza, że „słownictwo rzuca dużo światła na zagadnienia kulturalne, odzwierciedla bowiem najlepiej każdorazowy stan i typ kultury“.

Druga sprawa. Zdobycie rudymentalnej wiedzy o historycznej polszczyźnie, pozwolił wielu osobom ustrzec się powszechnie praktykowanego amatorskiego etymologizowania, zwłaszcza w zakresie nazw osób i miejscowości.

Mamy tu do czynienia z nagminnie panującym znachorstwem językoznawczym (wiadomo, że co Polak — to lekarz). Ostatecznie nie ma wielkiej szkody, jeżeli ktoś na prywatny swój użytek wyprowadzi sobie nazwę Częstochowy (miasta, które z wieżycami swej Jasnej Góry położone jest w pagórkowatej Jurze Krakowskiej) od kompozycji składniowej: często chowa. Nie ma również biedy, jeżeli ktoś do dziś trwa w najświętszym przekonaniu o dwuczłonowym składzie nazwy naszej stolicy (Warsz i Sawa). Ma to nawet dodatni walor społeczny: wprowadza sporo wesołości do smutnej szarzyzny codziennego życia.

Bywa jednak gorzej. Amatorskie etymologizowanie wtargnęło do literatury i płała figle niejednemu pisarzowi. Nie dziwi, że taki Janek z Czarnkowa wyprowadza sobie w w. XV nazwę miasta Bremy od wyrazu brzemie, nazwę Dalmacji od połączenia składniowego dała ma. Znany był z takich etymologii XVII-wieczny pisarz i spowiednik Lisowczyków Debołęcki. Było to dawno. Lekkim skandalem pachną natomiast znane etymologie J. Słowackiego, grubszym Lindego. Sam S. B. Linde, wielki Linde powaga nad powagi w naszej leksykografii, wytrawny przecie znawca języka polskiego, nie ustrzegł się etymologii à la Debołęcki. Ale to też historię stosunków dawne, bo potężny rozwój naukowego językoznawstwa w Europie i u nas to sprawa dopiero drugiej połowy w. XIX. Amatorskie etymologizowanie, etymologizowanie jankocznarskie, przystają się w poważne szaty nawet w dzisiejszych pracach naukowych — i to pracach poważnych. Niedawno zdarzyło mi się czytać w rękopisie taką pracę traktującą o w. XVI pewnego historyka, któremu odradziłem parę ryzykownych etymologii, z dobrym, jak się okazało, skutkiem dla efektu pracy w druku. Wiadomo, jakim świetnym narzędziem badań dla historyka dawnych czasów jest językoznawstwo. Jako laikowi przecie, utkwily mi w głowie wywody Eug. Kucharskiego o

Mazowszu pierwotnym, oparte na imponującej podbudowie lingwistycznej (ogłoszone w „Studiach Staropolskich“).

Przestudiowanie — i to bardzo skrupulatne — choćby popularnej książki Lehr-Splawińskiego przez historyków może im oddać cenne usługi zawodowe. I to, co bardzo ważne — nie tylko piszącym, których jest mniej, ale i uczącym po różnych zakładach naukowych.

Nieodzwonne jest po prostu oswajanie się — i to gruntowne — każdego powieściopisarza historycznego ze staropolszczyzną: jej słownikiem, odmianą i składnią. Nie ma co tego dowodzić. Nie wyobrażam sobie warsztatu pisarskiego A. Głowackiego czy J. W. Grabskiego bez poważnego zasobu polskich dzieł lingwistycznych, takich właśnie jak „Język polski“ Lehr-Splawińskiego.

A teraz parę uwag o samej książce.

Jest ona „obsadzista“, co się zowie. Autor w wykładzie swoim prowadzi nas w same mroki odległych dziejów naszego języka, cojąc się do wspólnoty indo-europejskiej, do której należą Słowianie i poprzez stadium bałto-słowiańskie i prasłowiańskie dochodzi do epoki podziału Słowian na trzy znane dziś grupy: zachodnią, wschodnią i południową. Z grupy lechickiej Słowian zachodnich wywodzi się naród i język polski, zróżniczkowany wedle pięciu swych zasadniczych szczepów: Polan, Wiślan, Sężan Mazowszan i Kaszubów. Dochodzimy pod przewodnictwem autora do polszczyzny historycznej, w której dziejach ustala następujące stadia rozwojowe: średniowiecze (w. XIV i XV), rozkwit wieku złotego (do poł. w. XVII), upadek języka literackiego (do poł. w. XVIII), odrodzenie jęz. literackiego (do poł. w. XIX), wreszcie doba romantyzmu do czasów ostatnich.

Książka kończy się charakterystyką współczesnego języka użytkowego i mowy codziennej warstw wykształconych (tutaj rozdział o języku dziennikarskim). Cały wykład utrzymany w korbach myślenia językoznawcy, t. j. myślenia ścisłego. I to ciekawe, że im dalej w głąb dziejów, tym uogólnienia tzw. „praw językowych“ (termin, wzięty z okresu pozytywizmu językoznawczego, nie jest terminem prof. Lehr-Splawińskiego) są ściślejsze, precyzyjniejsze. Całość czyta się, jak się to mówi, „z zapartym tchem“, tym bardziej, że autor nie szczędił czytelnikowi miłych niespodzianek, wprowadzając do wykładu prehistorię, przy której pomocy, jak również przy pomocy nazw roślin i nazw geograficznych, ustala pierwotne siedziby Słowian.

Wychowawcze znaczenie tej książki tkwi, moim zdaniem, w jej metodzie: jest to metoda, powiedzmy, indukcyjno-heurystyczna. T. Lehr-Splawiński swoje uogólnienia, ujmujące każdorazowy etap ewolucyjny polszczyzny, wyprowadza na podstawie materiału dowodowego, poprzedzającego tezy generalne; prowadzi on czytelnika za rękę, zmuszając go do wyprowadzania wniosków właściwych (choćby za pomocą kontrolowania wniosków autorskich na podstawie załączonego materiału literackiego). Autor przenosi niejako do książki — choćby w sposób przybliżony — metodę nauczania, którą stosował w swym seminarium uniwersyteckim, (piszę w czasie przeszedł, bo książka powstała w czasie wygnania wojennego z Krakowa do dalekiego Wyszynontowa w Kle-

lecczyźnie*). W ten sposób czytelnik systematycznie i gruntownie zaznajamia się ze starą głosownią, odmianą, składnią i słownikiem bał nawet z ewolucją ortografii, dowolnej dawniej, jak i dzisiaj.

Cwiczenia „seminaryjne“ są tak docieklive, że mogą niekiedy wprowadzić w zakłopotanie czytelnika, mniej otrząśniętego ze sprawami języka. Trudności takie mogą powstać przy lekturze rozdziałów o polszczyźnie do w. XVI, t. j. do czasu kiedy następuje stabilizacja naszego języka literackiego. Lektura tych rozdziałów jest o tyle trudniejsza, że autor chwilami zapomina, że pisze zarys popularny. Wprowadza np. prosto z mostu terminologię naukową, której bliżej nie wyjaśnia, jak i znaki językoznawcze, zrozumiałe bez wyjaśnień tylko dla wrażliwiczonych. Pisownia fonetyczna nie jest również wszędzie dla laików jednako rozumiana (np. przy transkrypcji języka Drzewian). Wydaje się również, że autor mógł zrezygnować z jednostronności przedstawienia zagadnień przy formułowaniu tezy o kolebce naszego języka literackiego. Ze spraw spornych jest to sprawa chyba najważniejsza, a sam spór między przedstawicielami teorii wielkopolskiej i małopolskiej nie jest jeszcze ostatecznie przesądzony i rozstrzygnięty.

Dwa ostatnie rozdziały czyta się „najłatwiej“, ale też one budzą wątpliwości. Widac od razu, gdzie prof. T. Lehr-Splawiński, jeden z najlepszych dziś znawców mowy dawnych Polaków i Polabian, jest najslabszy, porzucając twarde grunty starych, ale świetnie przez siebie przemyślanych faktów językowych i tez.

Już uwagi o języku literackim niektórych pisarzy XVII w. są za słabo ugruntowane. Trudno na wszystkich pisarzy tych czasów rozciągnąć uogólnienie o upadku języka literackiego w w. XVII w. stosunku do w. XVI. Rejowski język czy styl jest udziałem K. Opalińskiego. W. Potockiego — na to zgoda. Ale kulturę tego języka utrzymuje mimo wszystko W. Kochowski, mniej wprawdzie zdolny od Potockiego poeta ale niewątpliwie celniejszy od niego literat. Ten kontynuator tradycji J. Kochanowskiego zasługuje na wyróżnienie w tym rzeczywistości dekadentem wieku pod względem ściśle literackim.

Przy analizie polszczyzny okresów nowszych natknął się autor na szkopał, który sobie dobrze sam uświadamia: zagadnienie stosunku stylu do spraw historyczno-językowych. Do w. XVIII mówi nam stale o dziejach jęz. polskiego. Godziły się z tym i chcieliśmy słuchać dalej wykładu o języku, nie o stylu. Bo i na to zgoda, o czym mówi w przedmowie, że metoda naukowego ujmowania zagadnień stylologicznych „jest dotychczas bardzo jeszcze nieokreślona i że“ w ich traktowaniu literatura naukowa nie wyszła jeszcze poza niewiele mówiące ogólniki. To jest prawda, nawet po ukazaniu się książki zbiorowej „Stylistyka teoretyczna w Polsce“.

Juliusz Nowak-Dłużewski

* Na marginesie uwag niniejszych sygnalizuję, że biblioteki w Wyszynontowa i majątków sąsiednich pow. opatowskiego, które T. Lehr-Splawiński wykorzystał dla swej pracy, dziś nie istnieją. Nie ma ich w książkach, które uratowano, zwożąc do Kielc w r. 1945-46 (obecnie Biblioteka Wojewódzka). Nie wiadomo, gdzie się podziały. Sprawa ta ze względu na kulturę narodu, któremu okupant wyniszczył biblioteki publiczne, domaga się załatwienia. Wróćmy do niej przy innej okazji.

W świecie...

NIEPOWODZENIE BLOKU ZACHODNIEGO

Jesteśmy świadkami zjawiska pozornie nielogicznego: w epokę, której wyraźnym znamiennym jest unifikowanie się wszelkich funkcji i zjawisk życia społecznego i politycznego w skali światowej — jednocześnie wszelkie federacyjne, czy blokowe koncepcje polityczne opierają się z niepowodzeniem lub wręcz z działaniem odwrotnym. Ostatnio Bevin w Parlamencie Brytyjskim oświadczył się za zorganizowaniem Stanów Zjednoczonych Europy Zachodniej. Sama idea Stanów Zjednoczonych jest w swej zasadzie piękna, zdrowa i postępową, gdyż idącą z „duchem epoki“. Ale oto na propozycję Bevina najpierw Szwecja zastrzegła swoje desinteresment, za nią pospieszyły z podobnymi oświadczeniami dwa inne państwa skandynawskie: Norwegia i Dania, oraz Szwajcaria. Udział Be-Neluxu — choć już między tymi trzema państwami powstają regionalne Stany Zjednoczone — jest w tej chwili wysoce wątpliwy. Pozostałyby Anglia, Francja, Włochy, Portugalia i Hiszpania. Byłoby to organizm polityczny potężny, ale niestety jakże kadłubkowy w stosunku do koncepcji pierwotnej. Rzecz cała sprowadza się do tego, że państwa mniejsze, a równocześnie gospodarczo silniejsze niż Włochy czy Francja — niewątpliwie widziałyby wielki interes materialny w zaistnieniu Stanów Zjednoczonych, ale... całej Europy lub nawet świata. Propozycja Bevina rozpalająca Europę na dwie części narazie je może tylko na stany materialne, biologiczne, których każdy rozsądny rząd pragnie uniknąć.

19 LUTY

Uchwały frankfurckie odnośnie Bizonu (utworzenie Rady Gospodarczej itp., o których pisaliśmy w nr. 3/112) zostały podpisane przez gubernatorów brytyjskiego oraz amerykańskiego i weszły w życie. 19-lutego ma się odbyć konferencja Trzech, na której Francja ma swą strefę okupacyjną przyłączyć do Bizonu tworząc Trizonię, będącą w rzeczywistości Państwem Zachodnio-Niemieckim. Niektórzy piszą już nawet o tym, że państwo takie zgłosiłoby akces do Stanów Zjednoczonych Europy Zachodniej. Równocześnie jednak na Radzie Kontroli Niemiec, która — wbrew przewidywaniom — jeszcze funkcjonuje, omówiono został projekt reformy walutowej mającej być przeprowadzoną w całym Niemczech.

FRANCO REDIVIVUS

Najsprytniejszy z dyktatorów fascystowskich gen. Franco doczekał się na koniec sukcesu. Rząd francuski ogłosił, iż 10 lutego utworzona zostanie granica między Hiszpanią a Francją, zamknięta od roku 1941-42. Decyzja rządu francuskiego jest sprzeczna z zaleceniem Zgromadzenia Generalnego ONZ. Jest to przewalenie blokad politycznej rozciągającej przez narody demokratyczne wokół frankistowskiej Hiszpanii oraz pierwsza próba wprowadzenia napowrót reżimu i rządu hiszpańskiego do rodziny narodów zachodnio-europejskich, prawdopodobnie z widokiem na to, iż Hiszpania stanie się czynnym członkiem bevinowskich Stanów Zjednoczonych.

PAMIĘTAJ O ODBUDOWIE OPACTWA TYNIECKIEGO

Oficyny można wnieść na konto P.K.O. — Kraków — IV-477 (Opactwo O. O. Benedyktynów) lub też w Administracji „Tygodnika Powszechnego“.

Stanisław Podlewski

Raz jeszcze „Starówka”

Niemcy zbombardowali już trzy szpitale polowe: na Barokowej w gmachu szkoły powszechnej, na Miodowej 1 „Jana Bożego” na Bonifraterskiej. Nie był to przypadek. Piloci wyszukiwali z uporem cele. Bombardowanie szpitali i skupisk ludności cywilnej to jedna z barbarzyńskich metod Niemców, stosowanych w wojnie dla załamania morale przeciwnika. Ze wszystkich szpitali przeniesiono rannych do gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości, dawnego pałacu Raczyńskich, Długa 7.

Przebywa w nim 700 rannych. W obszernych blokach i skrzydłach tego gmachu, mieszczą się urzędy i instytucje państwowe, prokuratura i sąd polowy.

Od pierwszych dni powstania kwateruje tutaj drugi rzut batalionu „Wigry”, a po powrocie z Woli wszystkie oddziały tego batalionu.

W dniu 10 sierpnia płk. dypl. Zyndram, z Komendy Głównej przybywa do dowództwa batalionu „Wigry” i zawiadamia por. Trzaskę, że zapadła decyzja przeniesienia Komendy Głównej i centralnych Władz Cywilnych z ul. Barokowej do Gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości.

W tym celu ma zostać opróżnione pierwsze piętro gmachu.

Nowe miejsce postojów dowódcy Armii Krajowej i rządu trzymane jest w ścisłej tajemnicy, lecz mimo tego dostaje się do wiadomości nieprzyjaciela. Pałac i jego najbliższy rejon stają się celem ataków samolotów, skoncentrowanego ognia artylerii i miotaczy min.

Niezajęte przez władze sale w gmachu zajmuje szpital polowy. Napływ rannych jest tak wielki, że wkrótce zapelniają się wszystkie piętra.

Równocześnie wzmaga się ostrzał ciężkiej artylerii. Wciąż wisi groźba niespodziewanych nalotów. Zapada decyzja wykorzystania obszernej piwnicy. Któregoś dnia dwaj sanitariusze wchodzą na salę przepelnioną rannymi. Zbliżają się do łóżka, gdzie leży ppor. Czarny Franek z „Wigier”, ranny w nogę, w czasie ratowania rannych powstańców ze szpitala Jana Bożego, na Bonifraterskiej. Mówią mu tylko:

— Czarny Franus pojedziesz niżej.

Nie pytają go o zgodę, kładą na nosze i schodzą w dół. Niosą go przez jakieś kręcone schody. Orientuje się, że przenoszą go przez jedną, drugą i dalsze mroczne piwnice, w jakieś czarne lochy.

W pewnej chwili stawiają nosze na środku ogromnej piwnicy ze słowami:

— Czarny Franus — bądź spokojny...

I po tych słowach znikają w ciemnościach.

Mija pół godziny, godzina i nikt się nie zjawia. Głucha cisza wypełnia ciemną przestępną. Czarny Franek zaczyna się niepokoić. Imaginacja nasuwa najróżniejsze przypuszczenia.

— Widocznie ze mną jest źle, skoro mnie tu przynieśli, abym „wykitował”. Tylko po to...

Naraz czuje nieprzyjemne dotknięcia. Raz, drugi, trzeci. Słyszy jakieś piski. Dostrzega ślepią sznurów. Są ogromne jak koty.

Zaczyna wołać: Hallo! Hallo! gdzie jestem?

Odpowiada mu tylko echo sklepionych, starych piwnic, zdecydowany jest zejść z noszy. Wreszcie słyszy jakieś kroki i widzi światło. Dostrzega białe fartuchy sanitariuszy. Zjawia się dr. Bella, jak zawsze pełna radości i życia.

— Na rany Chrystusa Pana, po coście mnie przynieśli do tej kostnicy?

— Leż Franus spokojnie, zaraz be-

dziesz miał towarzyszy — uspakaja go łagodnie, kojąco.

— A dlaczego mnie tutaj przynieśliście?

Po prostu przynieśli ciebie na rozpoznanie, jako, że jesteś młodzieniec rozstrojony i zawsze z humorem. No i zaszczyt spotkał cię niedługo, — zostałeś założycielem podziemnego polowego szpitala, największego na Starówce. Coprawda odbyło się to wszystko mniej uroczysto, bez przecinania wstążki i bez przemówień, ale to wojna.

Głębokie i obszerne piwnice gmachu Ministerstwa, gdzie dawniej składano węgiel i koks, zostają zamienione na sale szpitalne. Tylko niektóre z nich posiadają maleńkie zakratowane okienka na świat, wpuszczające skąpe promienie światła i powietrza.

Długie rzędy łóżek i prycz. skleconych z desek ciągną się w amfiladzie piwnic. Na końcu dziedzińca, przy garażu, mała ciupka, zapewne dawna podręczna pakamera, czy rupieciarnia dostępuje godności sali operacyjnej tego wielkiego szpitala.

Po żelaznych kręconych, wąskich schodkach wciąż znoszą lub wynoszą z niej ciężko rannych. Z podłogi unosi się nieustannie pył i kurz węglowy.

Cały czas, bez przerwy na wąskim drewnianym stole, w najprymitywniejszych warunkach higienicznych, często przy świecy, dokonywują się najpoważniejsze operacje, amputacje i trepanacje. Dwóch znanych w stolicy chirurgów, pracuje bez przerwy i bez wytchnienia. Wysoki, smukły, stary profesor Wincenty Tomaszewicz i płk Stróżycki. Asystują im dwie siostry szarytki.

Na salę wnoszą ciężko rannego powstańca. Głowa mu zwisa bezwładnie. Chcą go położyć na łóżku obok innego ciężko rannego. Ten protestuje gwałtownie.

— POCO GO PRZYNOŚCIE?

— Jak to poco?

— Już go przecież czuć, gnije...

Węźcie go stąd!

Piwnice zatłoczone są rannymi. Leżą po dwóch na łóżkach. Na ziemi, na przegniłych siennikach. Zalegają korytarze i przejścia. Gdy od bomb zostają uszkodzone przewody, gaśnie światło, wówczas w ciemnościach rozlegają się krzyki. To jakaś siostra biegnie z pomocą lub zastrzykami do pacjenta, następuje na nogi w gipsie lub zeszyte rany.

— Na rany boskie, nie po nogach, siostrzo!

Kilkunastoletni chłopiec Stanisław leży na brzuchu; na barykadzie pocisk zdarł mu całą skórę i mięśnie, obnażając kręgi pocięzowe.

Nieustannie przesuwają się przez sale, włączając nogami, postacie w pasiakach. Z ogolonych czaszek wycierają jedynie oczy. To żydzi z Węgier, Grecji, uwolnieni przez powstańców, z obozów śmierci w murach stołecznego ghetta. Teraz wynoszą zmarłych, spełniają ohotniczo najbardziej przykre roboty.

Któregoś dnia jeden z tych ludzi w pasiakach, przechodząc przez podwórze wypuszcza kuleb z ręki i zaczyna przeraźliwie krzyczeć, pokazując rękami na dwóch tęgich mężczyzn, z opaskami na ramionach. Zlatuje się kilkunastu innych ludzi. Poznali swoich siepaczy z obozu koncentracyjnego.

OJCIEC TOMASZ,

Z TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO

Coraz to na innej sali, a jest ich w tym rozległym gmachu dwanaście, przy łóżkach rannych przystaje młody Jezuita, O. Tomasz Rostrowski.

Ojciec Tomasz pełnił do niedawna obowiązki ministra nowicjuszy w klasztorze na Rakowieckiej. Prze-

niesiony został do kościoła OO Jezuitów, na Starym Mieście i może dlatego uniknął śmierci.

W pierwszych dniach powstania banda Ukraińców i esesmanów wpała do klasztoru OO. Jezuitów na Rakowieckiej i nieomal wszystkich bestialsko morduje. Niemcy dokonują straszliwej zemsty nad zakonem Andrzeja Boboli, męczennika i nowego patrona Rzeczypospolitej.

Hitlerowcy wiedzą, że OO. Jezuitów — to elita intelektualna wśród naszego duchowieństwa, najbardziej aktywnej w pracy społecznej i niepodległościowej. Wielu jest kapelanami w organizacjach katolickich, harcerskich i w oddziałach polskiej armii. Wystarczy wspomnieć choćby kilku.

O. Korab (Jan Wojciechowski), minister Domu Jezuitów w Otwocku. Na ochotnika zgłasza się we wrześniu 1939 roku do armii polskiej i ostatni schodzi z pola walki, z oddziałami generała Kleeberga. Z niewoli ucieka. Od pierwszych chwil konspiracji jest kapelanem w batalionie „Unia - Krabar”, a kończy w powstaniu, jako kapelan obwodu Warszawa - Śródmieście, w stopniu pułkownika.

Ojciec Stefan (Sliwiński), kanałami przechodzi na Żoliborz a stamtąd do puszczy karpinińskiej, aby zostać kapelanem oddziałów leśnych, które miały przyjąć z odsieczki stolicę.

Wszystkie koleje wałk przebywa ze skrawionymi oddziałami zgrupowania „Radosław” O. Paweł (Józef Warszawski), we wrześniu 1939 roku jedyny kapelan armii polskiej, na Mokotowie. Odważny żołnierzakonnik, apostoł uniwersalizmu, katolickiej doktryny społecznej.

O. Julian (Piskorek), młodzieńki zakonnik i O. Chrobak są ranni w czasie pełnienia obowiązków kapłańskich.

Ojcowie Leonard Hrynaskiewicz i H. Mroccka oddają swoje życie z tyśiącami ludności staromiejskiej dzielnicy. Ten ostatni spowiadał na Freta obok kościoła św. Jacka, gdy pocisk urwał mu nogę.

O. Tomasza, kapelana Komendy Głównej, znają nieomal wszyscy obrońcy i mieszkańcy staromiejskiej dzielnicy. Zawsze go spotkać było można na najbardziej zagrożonych odcinkach, w największym ogniu, spokojnie, z uśmiechem i z gołą głową chodził od barykady do barykady. Chłopcy mówią, że zanim przywdział sukienkę zakonną, ukończył Szkołę Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu. Znosi rannych z pola walki, czarną jego sutannę widać

wśród czerwonych płomieni, w dymie, na dachach domów.

Wiele to razy, gdy tylko ucichł ogień dział, zapanowała cisza na barykadach, skupiał obok siebie chłopcy. Zasiadał do fortepianu i śpiewał z nimi wesole żołnierskie piosenki. Młode nerwy ulegały odprężeniu i wytchnieniu. Chłopcy przepadali za nim, ulegali jego urokowi.

W tych tragicznych dniach O. Tomasz był fenomenem psychologicznym, jedna z najciekawszych postaci powstańczej armii.

Tak przedziwnie harmonizowała w nim powaga stanu kapłańskiego, surowość, żarliwość i asceza zakonu Towarzystwa Jezusowego.

Zawsze pogodny i uśmiechnięty, przynosi rannym książki, gazety i najnowsze wiadomości ze świata, z pola walki, których tak łakną ranni.

Wielki optymista znosi ze świata najciekawsze i najnowsze wiadomości. Kojące słowa pociechy i ulgi rozdziela jak chleb.

Jakże często te słowa i wieści były dalekie od rzeczywistości, od rozwijającej się sytuacji, ale one przynosiły ulgę, dawały moc przetrwania cierpień i wytrwania.

BALK

Tragedia Balka dopełniła się nieco później. Pluton Mieczyków, z „Czasy 49”, bronił Nowiniarskiej i Świętojerskiej. Na barykadach była cisza tak rzadka i upragniona na Starówce. Zasmolone słońce wyglądało zza ciemnych chmur.

Balk wraz z ppor. Andrzejem siedział na klatce schodowej. Zdjął hełm i zagłębił się w czytaniu Huxleya „Wielki wspaniały świat”. Nagle spadł na podwórzu odłamek. Wionął zapach spalonego prochu. Balk osunął się na ziemię, spadły mu rogowe okulary, krew zalała mu oczy, całą twarz. Stracił przytomność. Zbiegły się sanitariuszki. Zaniesiono go do szpitala polowego pod Halą Targową, na Świętojerskiej. I tu lekarz stwierdził, że odłamek granatnika utkwiał głęboko w czaszce i naruszył zwoje mózgowe.

Uratować go mogła tylko natychmiastowa operacja. Nie było odpowiednich narzędzi chirurgicznych, ani warunków do trepanacji czaszki. Lekarz nie chciał podjąć się operacji. Każda minuta zwłoki decydowała o życiu rannego. Otoczenie prosi, nalega. Lekarz decyduje się na operację.

W zakładzie ślusarskim znaleziono „bormaszynkę” i naprędcę ją wysterylizowano. Lekarz przystąpił do operacji.

Odłamek udało się mu wyjąć. Lecz

serce rannego nie wytrzymało. Balk umarł. Ojciec Paweł i łączniczka Dalińska zajęli się pogrzebem. Dwóch jeńców wykopało mu grób na skwerku tuż przed Halą Targową...

Balk (Włodzimierz Pietrzak) należał do najciekawszych talentów i najlepszych umysłów młodego pokolenia.

Przed wojną światową przeszedł znamieną ewolucję od marksizmu do nacjonalizmu. Znalazł się w nowym środowisku. Zabił się od razu w tygodniku literackim „Prosto z Mostu” głębokimi studiami filozoficzno-społecznymi.

Utrata niepodległości przez Polskę była dla niego ogromnym wstrząsem i dokonała przeobrażenia i zmieniła go zupełnie.

Ze snobującego się swym intelektem młodzieńca — wspomina jego przyjaciel — przekształcił się świadomie w człowieka czynu. Walkę duchową o Boga wygrał. Totalizm oddał go lamusa przeżytych koncepcji, wypracowując oryginalnie ujęty system... Przez okres konspiracji na jego barkach spoczywał ciężar pracy ideowej i propagandowej Konfederacji Narodu. Był zastępcą Kiejstuta, kierownika politycznego i organizacyjnego. Cechował go realizm w ocenie faktów, w postępowaniu i w polityce.

U podłoża jego psychiki tkwił jednak romantyzm — typowy dla duszy polskiej.

Tym chyba trzeba wytłumaczyć, że na kilka tygodni przed powstaniem zgłasza się do akcji opanowania Pawiaka. Szalone to przedsięwzięcie, opłacone bardzo drogo, nie przyniosło żadnego rezultatu.

Na kilka tygodni przed powstaniem pisze memoriał, że moment wybuchu powstania jest nieodpowiedni, i Konfederacja Narodu przesyła go Delegatowi Rządu na Kraj.

Nie przeskadza mu to dopominać się o przydział bojowy i wtedy dochodzi do ostrego starcia z Kiejstutem, który mu wręcz oświadcza, że sprawie bardziej potrzebny jego mózg w czasie, niż na ścianie i przydziału nie otrzyma.

Balk, tak zawsze karny, oświadczył, że przydział sam sobie znajdzie.

W chwili wybuchu powstania znalazł się na Woli, z plutonem Mieczyków.

Ten wysoki, łysiejący blondyn, o twarzy myśliciela, z nieodstępnymi rogowymi okularami, otrzymał chrzest bojowy z najmłodszymi żołnierzami powstania.

Stanisław Podlewski

Recenzje

CZERWONE TARCZE

Każdy wybitny powieściopisarz chce napisać koniecznie powieść historyczną. Jest to jego ambicją i egzaminem dojrzałości pisarskiej. Wydaje mi się, że wznowione dzisiaj „Czerwone Tarcze” były kiedyś ambicją Iwaszkiewicza: gdy nabrały wreszcie realnego kształtu pod piórem pisarza, wówczas ujrzelśmy coś, co jest bez wątpienia dobrą książką, ale słabą powieścią historyczną.

Z chwilą, gdy autor stwarza postacie historyczne, gdy rzuca je na tło epoki, ma dwie drogi do wyboru. Stworzyć takiego człowieka, jaki wówczas istniał lub stworzyć groteskę. Jakże często niewspółmierność epoki ze sposobem bycia bohatera jest jedyną i zasadniczą osnową danej groteski czy satyry. Oczywiście pisarz nie osiąga zamierzenia z chwilą, gdy pisze groteskę, a wychodzi mi powieść historyczna w najpoważniejszym tego słowa znaczeniu, jak gdy pisze powieść, a wychodzi mi groteska. Otóż zdaje mi się, że nie powiodło się Iwaszkiewiczowi zsynchronizowanie epoki z jej ludźmi. Nie można powiedzieć, by „Czerwone tarcze” stały się groteską, ale spotyka się wiele miejsc, gdzie wy-

rażnie zaznacza się grawitacja tej powieści ku grotesce, jaka wynika bądź ze śmiałej próby zbliżenia nam ówczesnych bohaterów przez narzucenie im dzisiejszego sposobu myślenia i mówienia, bądź też z faktu, że Iwaszkiewicz — historyk nie był w stanie doścignąć do wysokiego poziomu Iwaszkiewicza — epoki i Iwaszkiewicza — liryka.

O ile opisy kreślone w powieści są żywe, jaskrawo zabarwione, trafne i oddające ducha epoki, o tyle dialogi są zdecydowanym zaprzeczeniem ówczesnych czasów.

Książkę Henryk Sandomierski mówi tam — „...a zresztą nie uysł, że jestem egoistą”. Karczmarza powiada do rycerza: „O! Nie zaczepiaj mi pan gości, zawsze mi pan tutaj przyjedzie i tylko psuje interesa”. Rycerz Wippo przedstawia się Henrykowi Sandomierskiemu: „Dobry wieczór Panu, jestem Wippo, Wippo z Zielonej Góry”. Opat klasztoru w Ossjaku, zaciekawiony osobą Henryka Sandomierskiego, zapytuje, kim jest jego gość. Ten przedstawia mu się krótko: „ — Piast”. Kazimierz Sprawiedliwy rozgorączkowany na skutek zdrady części rycerstwa woła do brata: „—Rece im poocinam.

Henryku, ukamienować ich, powieści, zastrzelić”. Wydaje się, że np. takie — „zastrzelić” — jest więcej niż niezręczne: można sobie oczywiście dodać że zastrzelić z łuku czy z kuszy, ale jest to nadzwyczaj sztuczne użycie słowa w ustach dwunastowiecznego księcia, jak też i sztucznie unowocześnione są wszystkie dialogi. Ale na tych słabych i rażących dialogach kończą się jednocześnie wszystkie słabe strony książki. Tam, gdzie trzeba opisać przyrodę, gdzie trzeba wywołać nastój, gdzie sytuacja wymaga operowania efektami literackimi, tam Iwaszkiewicz stoi na wysokości zadania i w pełni panuje nad swym zamierzeniem artystycznym.

Jeśli chodzi o moralne spojrzenie na epokę, jeśli tak można się wyrazić, to powiedziałbym, że jest ono swoiste, własne, niepodporządkowane, a cesarstwem, która wydaje się być elementem potrzebnym tylko do wycienienia tła, a nie czymś tak zasadniczym, jak chociaż-

Saint Exupery

„LOT DO GWIAZD”

(fragment I rozdz. książki „Ziemia ludzi“)

Gdy Mermoz w hydroplanie po raz pierwszy przeleciał południowy Atlantyk, dotarł u szyłku dnia do okolicy Pot-au-Noir. Widział, jak na przeciwko niego zgęszczają się z minuty na minutę ogony cyklonów, podobnie jak budowany przez ludzi mur. Potem obserwował, jak noc rozpościła się na tych przygotowaniach, ukrywając je. A gdy w godzinę potem przemknął się pod chmury, znalazł się nagle w fantastycznym królestwie.

Trąby morskie skupione i pozornie nieruchome wznosiły się tam, jak czarne słupy świątyni. Podtrzymywały na swych czubach wydęte, ponure i niskie sklepienie burzy, lecz przez jego pęknięcia spadały plachty światła, a pełny księżyc między pilastrami rzucał promienie na zimne płyty morza. Mermoz kontynuował swój lot przez niezamieszkałe ruiny, przechodząc ukośnie od jednego strumienia światła do drugiego, mijając gigantyczne słupy, w pobliżu których grzmiało wzniesienie morza, cztery godziny leciał wzdłuż księżycowych rzek w kierunku wyjścia ze świątyni. Widok ten był tak przytłaczający, że Mermoz dopiero gdy przeleciał Pot-au-Noir zauważył, że wcale się nie bał.

Ja też przypominam sobie jedną z tych godzin, w których przekracza się granice świata rzeczywistego.

Dane radiogonometryczne podawane nam owej nocy przez porty saharijskie były fałszywe i bardzo wprowadziły nas w błąd. Nas, to znaczy radiotelegrafistę Neri i mnie. Gdy dojrzałem wodę świecąca, w głębi pęknięcia mgły, skróciłem gwałtownie w kierunku wybrzeża. Nie widziałem od jak dawna ląd, leciałem w głąb morza.

Nie byliśmy pewni, czy uda się nam osiągnąć brzeg, gdyż mogło nam zabraknąć benzyny. Lecz jeśli go osiągniemy, koniecznie musimy odnaleźć port lotniczy. A była to godzina zachodu księżyca. Bez informacji z ziemi, które stały się nieaktualne, z każdą chwilą traciliśmy wzrok. Księżyc gasł jak blade żar w mgle podobnej do zwału śniegowego. Z drugiej strony niebo pokrywało się chmurami. Żeglowaliśmy odtąd między tymi chmurami i tą mgłą, w świetle pozbawionym wszelkiego światła i wszelkiej treści.

Porty, które nam odpowiadały, nie były w stanie nami pokierować. „Nie ma danych... Nie ma danych...” Nasz głos dochodził ich zewsząd i zniknął.

I nagle, gdy już straciliśmy nadzieję, błyszczący punkt zdemasko-

wał się na horyzoncie, z przodu, po lewej stronie. Odczułem zmieszana radość. Neri pochylił się w moją stronę, usłyszałem, że śpiewał! To mógł być tylko port, to mogła być jedynie jego latarnia, gdyż Sahara w nocy gąśnie zupełnie, stając się wielką martwą przestrzenią. Światło tymczasem iskrzyło się przez chwilę, potem zgasło. Wzięliśmy kierunek na jakąś gwiazdę, widoczną na swym zachodnim horyzoncie, jedynie przez kilka minut, między złożami mgły i chmur.

Mimo zauważyliśmy, jak podnoszą się inne światła. Za każdym razem z głuchą nadzieją kierowaliśmy się w ich stronę. A gdy światło trwało dłużej wykonywaliśmy życiодajne doświadczenie: „Widoczne światło — nakazywał Neri portowi w Cisneros — zgasicie swą latarnię i zapalcie trzy razy”. Cisneros gasiło i zapalało swą latarnię, lecz twarde światło, do którego lecieliśmy, nie dająca się przekupić gwiazda, gasła tylko raz na zawsze.

Mimo wyczerpywania się benzyny, za każdym razem polykaliśmy złoty haczyk, gdyż za każdym razem było to dla nas prawdziwe światło latarni, gdyż za każdym razem był to port i życie. Potem musieliśmy zmienić gwiazdę.

Czuliśmy się zagubieni w przestrzeni międzyplanetarnej, wśród setek planet nieosiągalnych, w poszukiwaniu jednej prawdziwej planety, tej naszej, tej, na której znajdowały się dobrze znane nasze krajobrazy, nasze domy — przyjaciele, nasze uczucia.

Tej jedynej, na której... Powiem wam, jaki obraz pojawił mi się wtedy. Być może wyda się wam dziecinny. Lecz w sercu niebezpieczeństwa żyją troski człowieka, a ja byłem głodny i spragniony. Jeśli odnajdziemy Cisneros, polecimy dalej, uzupełniwszy brak benzyny. Wylądujemy w Casablanca, w świeżości poranka. Skończona praca; Neri i ja wyjdziemy na miasto. Niektóre restauracyjki otwierają się tam już o świcie... Neri i ja siadaliśmy sobie przy stole, zupełnie bezpiecznie, śmiejąc się z nocy, która przeszła. Przed nami ciepłe jeszcze rogaliki i kawa z mlekiem. Neri i ja otrzymamy ten poranny podarek życia.

Stara wieszniaczka również odnajduje swego Boga jedynie za pośrednictwem namalowanego obrazu, naiwnego medalika różańca. Należy przemawiać do nas prostym językiem, abysmy zrozumieli. Tak więc radość życia gromadziła się dla mnie

w tym pierwszym wonnym i gorącym lyku, w tej mieszaninie mleka, kawy i zboża, za pośrednictwem której nawiązuje się połączenie z ziemią. Wśród tylu gwiazd tylko jedna, znalazłszy się w naszym zasięgu, była tą filiżanką, pachnącą porannym posiłkiem.

Lecz niepokonalne odległości gromadziły się między naszym okrętem a tą zamieszkałą ziemią. Wszystkie bogactwa świata leżały w ziarnku prochu, zgubionym wśród konstelacji. A astrolog Neri, starający się je rozpoznać, zwracał się zawsze — do gwiazd.

Jego pięść uderzyła nagle moje ramię. Na papierze, który zapowiadał mi ten szturchaniec czytałem: „Wszystko dobrze, otrzymałem właśnie wspaniałą wiadomość...” Czekalem z bijącym sercem na te 5 lub 6 słów, które nas uratują. W końcu otrzymałem zapowiedziany dar niebios.

Wysłany był z Casablanki, którą opuściliśmy poprzedniego wieczoru. Spóźniony w przekazywaniu, osiągnął nas nagle w odległości dwu tysięcy kilometrów, między mgłą a chmurami, zgubionymi nad morzem. Było w nim coś z przedstawiciela Państwa w porcie lotniczym w Casablance. Przeczytałem: „Panie Saint-Exupéry, jestem zmuszony złożyć na pana karny raport do Paryża, gdyż przeleciał pan zbyt blisko hangarów, startując w Casablance”. To prawda, przeleciałem zbyt blisko hangarów. Prawdą było również, że ten człowiek spełniał swój obowiązek, bez przyjemności. W biurze aeroportu przyjąłbym tę wymówkę z pokorą. Lecz osiągnęła nas tam, gdzie byliśmy nieosiągalni. Wybuchała wśród bardzo nielicznych gwiazd, na łożu mgły, w grożącym nam smaku morza. W dłoniach naszych spoczywał nasz los, los poczty i całej maszyny, byliśmy zmuszeni lecieć ostrożnie, aby żyć, a ten człowiek tam wylewał na nas swą złość. Zamiał irytacji Neri i ja odczuliśmy jednak wielkie i nagłe rozradowanie. Tu my byliśmy panami siebie, a on dopomógł nam jedynie odkryć tę prawdę.

Czy nie zauważył ten kapral, że zostaliśmy kapitanami? Przeszkadzał nam w naszych marzeniach, gdyśmy odmierzały poważnie sto kroków od Wielkiej Niedźwiedzicy do Łuczniczki, gdy całą sprawą był aeroport a jedyną rzeczą, która mogła nas zainteresować — zdrada księżyca.

Obowiązkiem natychmiastowym, jedynym obowiązkiem planety, na

której ten człowiek okazywał swoje istnienie, było dostarczenie nam dokładnych cyfr dla naszych obliczeń wśród gwiazd. A były one błędne. Zresztą, chwilowo, planeta powinna była milczeć. I Neri napisał mi: „Zamiast bawić się głupstwami, lepiej by zrobili, gdyby nas gdzieś zaprowadzili...”. Pod słowem „oni” znajdowali się dla niego wszyscy ludzie globu, ze swymi senatami, marynarkami, armiami i cesarzami. Czytając jeszcze raz przesyłkę tego nierozsądnego człowieka, któremu się zdawało, że ma nam coś do powiedzenia, skróciliśmy maszynę na Merkurego.

Uratował nas dziwny zupełnie przypadek. Nadeszła godzina, w której, poświęcając nadzieję na osiągnięcie Cisneros i skręcając prostopadle w stronę wybrzeża postanowiłem trzymać się tego kierunku, dopóki nie zabraknie mi benzyny. W ten sposób miałem trochę szans, że nie spadnę do morza. Na moje nieszczęście zwoźnicze latarnie gwiazd zaprowadziły mnie Bóg wie gdzie. Gęsta mgła, w którą, w najgorszym wypadku musieliśmy zanurzyć się w pełnej nocy zostawiła nam niewielką szansę na wylądowanie na ziemi bez katastrofy. Lecz nie miałem wyboru.

Sytuacja była tak jasna, że wzruszyłem ramionami melancholijnie, gdy Neri podsunął mi wiadomość, która przed godziną mogła nas zbawić: „Cisneros decyduje się nas poprowadzić. Cisneros podaje 216 wątpliwe...”. Cisneros nie uciekło w ciemności, Cisneros pojawiało się tam, namacalnie, po lewej stronie. Tak, lecz w jakiej odległości? Przeprowadziłem z Neri krótką rozmowę. Za późno. Zgadaliśmy się. Lecąc do Cisneros powiększaliśmy ryzyko zgubienia brzegu. I Neri odpowiedział: „Z powodu braku benzyny, wystarczającej na godzinę, utrzymujemy kierunek 83”.

Tymczasem porty, jeden za drugim, zaczęły się budzić. Do naszego dialogu z Cisneros mieszały się głosy Agadiru, Casablanki, Dakaru. Odbiorniki radiowe każdego z tych miast zaalarmowały aeroporty. Szeffowie aeroportów zaalarmowali kolegów. I powołanki gromadzili się oni wokół nas, jak wokół łożka chorego. Niepotrzebna troskliwość, lecz jednak troskliwość. Rady jałowe, lecz jakże czułe!

I nagle pojawiła się Tuluza. Tuluza, głowa linii, zgubiona gdzieś tam, cztery tysiące kilometrów od nas. Tuluza wpadła między nas i

bez ceregieli: „Aparat, który pan prowadzi, czy to aparat F... (zapomniałem już numer immatrykulacji) — Tak. — A więc dysponuje pan jeszcze benzyną na dwie godziny. Zbiornik pańskiej maszyny nie jest zbiornikiem standardowym. Kurs na Cisneros”.

H. E. Martuszewski

Powołania na Braci do Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego

(Księża Pallotyni)

Zakony spełniły w ciągu wieków olbrzymią misję kulturalną, oświatową i religijną. Nauczylły ludzi pierwotne uprawy roli i rzemiosła, zakładały szkoły niższe i wyższe, przechowały i uratowały od zagłady bezcennej wartości dzieła sztuki. Zakony czyniły to i dzisiaj w dalszym ciągu, zwłaszcza w krajach pogańskich, dokąd ze światłem prawdziwej wiary zaszczeplają kulturę i cywilizację.

Nieodstępny towarzyszem, prawą ręką zakonnika misjonarza był zawsze i jest w naszych czasach brat zakonny, który razem z kapłanem jako rzemieślnik, budowniczy, katecheta, artysta, drukarz staje się pionierem prawdziwej kultury i apostołem prawdy Chrystusowej.

Nie mogąc z pewnych względów zostać kapłanem, chcesz jednak uświęcić i zbawić duszę swoją a zarazem życie swoje poświęcić dla sprawy Bożej i zbawienia bliźnich swoich. Możesz to uczynić, wstępując do jednego ze zgrupowań zakonnych.

Obok wielu innych możesz się zgłosić do Stowarzyszenia Księży Pallotynów, zwanego urzędowo Stowarzyszeniem Apostolstwa Katolickiego.

Warunkiem wstąpienia do Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego jest szczerą chęć poświęcenia się wyłącznie na służbę Bożą, dobre zdrowie i zdolność do wykonywania prac fizycznych względnie umysłowych.

Jeżeli czujesz w sobie głos powołania Bożego zgłoś się na adres:

Zarząd Prowincjonalny Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego Ołtarzew, p. Ożarów Warszawski.

by w „Tiarze i Koronie” Jesske-Choińskiego.

Trzeba jednak podkreślić, że w książce znajduje się wiele motywów socjalistycznych, które musiały pójść po linii ideologicznej „Czytelnika” i zdecydowały o tym, że w znowiono właśnie „Czerwone Tarcze”, a nie jakąś inną powieść autora.

Iwazkiewicz w „Czerwonych tarczach” jest artystą i każe być artystami swoim bohaterom. Henryk Sandomierski, grajek Tili a nawet cesarz Barbarossa — wszystko to artyści i romantycy. Romantyzm autora harmonizuje z romantyzmem bohaterów i stanowi wdzięczne, choć raczej niewłaściwe znamię czasów, w których powinniśmy doszukiwać się raczej ludzi prostych, nieokrzesanych i wyzbytych tej wrażliwości, jaką każe posiadać im Iwazkiewicz. Nie jest to jednak ani w części takim wypaczeniem właściwego spojrzenia w odległe czasy, jakie utwarzają niefortunne dialogi.

Akcja powieści jest bardzo skąpa, uboga, dopiero przy końcu książki zaczyna płynąć nieco bystrzej i przykuwa czytelnika, by urwać się gwałtownie niedaleko przed ostatnimi rozdziałami. Ciężar główny powieści spada więc na opisy, które wykonane są po mistrzowski i z pewnością w tym, a nie innym miejscu

czuje się zapowiedź osiągnięcia takiego kunsztu, jaki pozwolił autorowi „Czerwonych tarcz” na napisanie „Nowel włoskich”. Lwi pazur Iwazkiewicza, jaki objawia się w opisach, jest czynnikiem, który w znacznej mierze zaciera w naszych oczach błędy i wady dialogu przenosząc nas w odległą atmosferę istic średniowiecznych pejzaży.

Ambicji Iwazkiewicza mogło stać się zadość, napisał powieść historyczną, która doczekała się trzech wydań. Mimo to, można powiedzieć, że powieść historyczna nie jest domeną twórczości Iwazkiewicza, gdzie doskonalił ten autor potrafi w pełni rozwinąć wszystkie swoje walory, i tamte dziedziny wydają się być właściwymi łożyskami nurtu twórczego Jarosława Iwazkiewicza.

W.

„WIELKI SZTORM”

Wśród książek dla młodzieży, oprócz wartościowych wznowień dawnych autorów, pojawiają się i nowe cenne pozycje literackie. Jedną z nich jest bezsprzecznie „Wielki Sztorm” R. Manugiewicza.)

*) Ryszard Manugiewicz — „Wielki Sztorm”, powieść dla starszej młodzieży, str. 240. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa, 1947.

się niespodziewanie wielki sztorm, która urzeczywistnia jego marzenia. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, a także dzięki własnej inicjatywie. Franek przedostaje się na łódź podwodną do Anglii, gdzie zostaje przyjęty do marynarki handlowej na s/s „Ślązak”, na którym przebywa do końca wojny. Odtąd życie chłopca — to jedno pasmo wielkich przygód, jak burze morskie, ataki niemieckich łodzi podwodnych i samolotów, czy wykrycie afery szpiegowskiej (może trochę nieprawdopodobne, ale z pewnością przykuwające uwagę młodych czytelników). Podczas jednego z ataków na konwój sprzymierzonych, „Ślązak” trafiony torpedą idzie na dno, a Franek ciężko ranny leczy się w szpitalu. Wkrótce jednak, jeszcze niezupełnie wyleczony, powraca na nowy statek „Ślązak II”, który dzielna załoga otrzymuje na miejsce zniszczonego „Ślązaka I” i tam już pozostaje do końca wojny. Akcja wraz z rozwojem sytuacji wojennej przenosi się z Oceanu Atlantyckiego na Morze Śródziemne i Północne, by skończyć

Książka ta — to dzieje Franka Kądziała, chłopca-sieroty z zapadłej wioski karzubskiej, który wychowany nad morzem i przepojony gorącą doń miłością pragnie pozostać marynarzem. W życie chłopca wdzie-

się na Bałtyku w chwili powrotu Franka do Polski.

Książka zawiera wiele cennych momentów. Na pierwszym miejscu wymienić należy jej pozycję w literaturze marynistycznej. Pięknymi opisaniami morza i barwnością przygód na pewno wzbudzi w niejednym młodym umyśle żywe zainteresowanie morzem i marynarką. Krzewiąc zrozumienie problemu morza wśród młodzieży spełni dobrze ważne zadanie propagandy Wybrzeża.

Dalej trzeba podkreślić zdrowe i uczciwe podejście do zagadnień, czy to będzie zagadnienie przyjaźni ucieleśnione w postaciach Franka, Martyniaka, Cianciary i kucharza Franciszka, czy odwagi, tak lapidarnie, a słusznie sformułowane przez matę Martyniaka! „Bo nie dziwota bać się, kiedy śmierć w oczy zagłada, ale w tym rzecz, by ten strach zdusić w sobie, stłamsić, nie dać mu wyleźć na wierzch i zagarnąć człowiekiem a samemu robić co do cie należy”. (str. 81).

Pewne zastrzeżenia budzą niektóre dysertacje społeczne Cianciary (str. 52 i 53). Trudno się zgodzić by np. wojny Polski z Krzyżakami, czy caratem rosyjskim, wojny w obronie wydzieranych podstępnie ziem, w obronie kultury i wolności

były tylko wojnami „dwóch wielmożów”. Zdrową jednak przeciwwagę przemądrzałego Cianciary stanowi matę Martyniaka, który swym poczuciem humoru przywraca zdrową swobodną atmosferę.

Można by również oszczędzić młodzieży uczestnictwa w burzliwym wiecu, roztrząsającym zagadnienie powrotu do kraju. Przedstawienie waśni i partyjnych rozgrywek nie jest z pewnością zbyt pedagogiczne. Sprawę jednak ratuje Franek, któremu przemożna tęsknota do Gdyni, do Bałtyku, do swojej mowy, do swoich ludzi wyrwa gorący okrzyk: „Toż tam jest nasze miejsce, czy dobrze czy źle!” I dalej: „Jakoście tu szli przez morza, przez góry, nie patrzyliście jako wam będzie, na jaki trud idziecie. A w Polsce boicie się tego trudu?” (str. 234). To tłumaczenie ma wielką siłę przekonującą. Bo nie można zaprzeczyć, że miejsce Polaków jest jednak w Polsce, czy dobrze się w niej dzieje, czy źle.

Na zakończenie jeszcze parę uwag o formie książki. Barwny język, żywa akcja bez dłużyzn, nastrojowe a pełne realizmu opisy, trafne charakterystyki składają się na doskonałą całość, podkreślając jeszcze inne walory „Wielkiego Sztormu”.

S.

Wędrowki po scenach polskich

KSANTYPA REHABILITUJE SIĘ... W BYDGOŚCZY. *)

Ksantypę trzeba odbronić. Niesłusznie od wieków pamiata się imieniem kobiety, która wcale nie była taka zła. Poznajmy bliżej jej życie, a przekonamy się, że Ksantypa wcale nie była Ksantypa.

Tymi słowami można wyjaśnić intencje, którymi kierował się L. H. Morstin pisząc swoją „Obronę Ksantypy”. Mnie nie przekonała, co wcale nie przeszkadza, iż dzięki obrońcy nasza literatura dramatyczna zyskała bardzo cenną, dobrze skomponowaną, pełną finezji i artystycznego smaku sztukę teatralną.

Wywód obrońcy opiera się na dwu podstawowych argumentach. Pierwszy z nich dałby się sformułować słowami: Ksantypa też ma prawo do życia, drugi natomiast pada z ust żony Sokratesa: Muszę... „na cały

*) Teatr Miejski w Bydgoszczy. L. H. Morstin — Obrona Ksantypy. Sztuka w 3 aktach.

świat zęby szczyrzyć, bo by mnie zagryzł”.

Ksantypa istotnie jest nieszczęśliwa, Sokrates żyje na innym świecie. Żona mogłaby być, gdyby do tego dorosła, najwyżej jednym ze słuchaczy. Zajęty swoimi sprawami, zajęty budową nowej myśli nie troszczy się o nic co ziemskie, a żona, kobieta młoda, pełna życia, czuje się w tym obcym dla niej świecie, zagubiona, osamotniona — stąd jej rozczarowanie, stąd gorzkie przerażenie się w złości, która z dniem każdym coraz bardziej w sercu się zapieka, która z kobiety z natury dobrej tworzy sekutnicę, po prostu Ksantypę.

Prokurator miałby łatwą robotę z teżami obrońcy. Powiedziałby: przez cały czas trwania sztuki Ksantypa ani razu nie usiłowała zrozumieć Sokratesa, nie usiłowała mu dorównać, być żoną również z ducha. Jasnym jest dla każdego kto raz zobaczył Sokratesa, iż jest to ktoś wyższy niż inni ludzie; za takim trzeba podążać, a nie ściągać go w dół. A z

drugiej strony owo szczerzenie że... nie zawsze było obrońcą, stosowane bardzo często i nie

...koniecznych (jeśli takie w ogóle istnieć mogą) świadczyły raczej o tym, iż rozgoryczenie przerodziło się w złość dla złości. Ksantypa była czasem Ksantypą dla samej przyjemności zgrzytliwego zrządzenia.

Rzecz jasna, iż całą tę prokuratorską oskarżycielską można by również łatwo podważyć, wydukać, wydukać, że w wywodach jego więcej jest racji niż w tym co mówi obrońca.

Zostawmy jednak Ksantypę w spokoju. Najświętsze jej racje, dziś odgrzebane, nie przełamują odwiecznego przyzwyczajenia by sekutnicę tym chrześć imieniem tym bardziej, że każda współczesna Ksantypa wiele by zawsze miała na swoją obronę. Warto by jednak było, kiedyś w spokojnej chwili, wziąć sztukę Morstina za podstawę wyjściową do dyskusji na temat jaką winna być żona Sokratesów. W tym nie ma nic śmiesznego — to jest poważny prob-

lem. Może doszlibyśmy do wniosku, że trzeba by założyć specjalną szkołę (większość absolwentek zostałyby starymi pannami, bo tylko jedna na grube miliony doczekałaby się Sokratesa) a może... uchwalilibyśmy, że żaden Sokrates nie powinien się żenić?..

Bydgoska realizacja Ksantypy sprawiła mi dużą niespodziankę. Zaczęło się od miłych, skromnych i stylowych i z sensem pomysłań dekoracji Tadeusza Kallnowskiego. Gustawa Błńska, reżyserka sztuki, wydobyla z „Obrony” wszystkie momenty, które miały Ksantypę wybielić. Interpretacja była wnikliwa i przekonująca. Jako mężczyzna nie dałem się oszukać — ale muszę przyznać, iż nie wiele brakowało, tym bardziej, że i sama bohaterka sztuki postępowała sobie na scenie dość złośliwie. P. Klimczakówna (Pamiętam jeszcze jej przedwojenną kreację siostry Wawland w „Świetnym promieniu” Maughama — Lublin 1938) nie wydobyla z roli (nie w'em czy świadomie) akcentów owej złośliwości i zgrzytliwości Ksantypy. W tych scenach była nieco za miękka. Natomiast momenty, które miały ją wybielić uchwycone były z taką perfidną słodyczą, że nie jeden mógł w to uwierzyć. Kto wie czy

takiej Ksantypy nie szkoda było dla Sokratesa, tylko... czy tak sobie Ksantypę wyobraża Morstin? Kobiety są niesprawiedliwe w ocenianiu samych siebie, tym bardziej wówczas, gdy ta wiewsekcja następuje wobec licznej widowni. Przyznać się publicznie do tego, że istniała kiedyś zła Ksantypa na świecie? Na to nie mogła się zdobyć ani p. Błńska, ani p. Klimczakówna. Przecież podobno nawet pierwszy grzech to wina Adama, bo mógł Ewy nie zostawiać sam na sam z węzłem.

Reżyserka sztuki miała trudności z wybieleniem, bo Sokratesem był jej mążzonek p. J. Kondrat. Na wybielenie męskiego trzeba stworzyć, iż Kondrat nie dał się pognać, i stworzył postać Sokratesa taką, jaką zwykliśmy ją sobie wyobrazić, taką przy której Ksantypa, choćby ze skóry wylazła, musiała zostać Ksantypa. Słynny już dziś taniec jego wzruszył widownię do głębi — a to sztuka — nie znając publiczności bydgoskiej bałem się czy nie odpowie rechem. Chętnie bym doskonalym, choć dość w „docznie” wyłamującym się spod batuty reżyserskiej, był Tyreusz Józefa Kordowskiego. Reszcie wykonawców przesyłam dużo komplimentów.

Mieczysław Markowski

Z zagadnień gospodarczych

Zagadnienie sił roboczych w Europie

Jesteśmy świadkami, a równocześnie współuczestnikami procesu, który ma na celu przeprowadzenie w możliwie najkrótszym czasie odbudowy gospodarczej Europy. Bez względu na istniejące w obecnym stanie rzeczy różnice polityczne i socjalno - ekonomiczne między państwami Europy Zachodniej, a państwami Europy Wschodniej cel ten jest jeden i ten sam we wszystkich państwach. Celem tym jest nie tylko usunięcie zniszczeń wojennych, lecz również rekonstrukcja gospodarki t. j. odbudowa połączona z przebudową aparatu produkcyjnego, tak aby mogły być stworzone warunki potrzebne do przekroczenia przedwojennego poziomu produkcji i oraz do nadrobienia straconego czasu w ogólnym światowym rozwoju postępu technicznego.

Potencjał sił roboczych jest jednym z istotnych czynników rozwoju gospodarczego. W związku z powyższym poświęcamy w niniejszym artykule kilka uwag problemowi lud-

nościowemu Europy w ogólności, a problemowi sił roboczych w szczególności, na tle realizowanych lub zamierzonych programów gospodarczych.

Opracowany w związku z planem Marschalla raport t. zw. Komitetu Współpracy Europejskiej, który dotyczy programu odbudowy 16 państw Europy i Niemiec Zachodnich dostarcza ciekawych materiałów odnośnie zagadnienia sił roboczych.

Punktem wyjścia jest stwierdzenie, że racjonalne zużycie będących do dyspozycji sił roboczych jest jednym z podstawowych czynników rekonstrukcji gospodarczej.

Raport podaje zestawienie zapotrzebowania na siły robocze oraz źródła ewentualnego jego pokrycia, z tym, że ogólne ilości zapotrzebowane przez poszczególne państwa są podane w oparciu o przypuszczalny popyt na siły robocze w związku z planowanymi inwestycjami i rozwojem produkcji.

starzające. W Szwajcarii, w niektórych z podstawowych działów produkcji tygodnie pracy dochodzi do 55 godzin.

Poważne rezultaty zostały również osiągnięte w ciągu ostatnich dwóch lat na drodze kształcenia zawodowego. I tak we Francji ilość zatrudnionych w t. zw. zawodach produktywnych zwiększyła się o blisko 400 tys. osób w 1947 r. W Wielkiej Brytanii ogólna liczba zatrudnionych przekracza o 900 tys. stan przedwojenny. W Szwajcarii około 100 tys. osób zostało w latach 1945 — 1947 dodatkowo zatrudnionych w rolnictwie.

Specjalnie podkreślić należy duże przywiązanie wagi do omawianego problemu w Wielkiej Brytanii. Przegląd Ekonomiczny (tak zw. „Economic Survey”), który został przedłożony przez rząd parlamentowi na wiosnę 1947 r. stwierdza, że od zwiększenia ilości ludności pracującej zależy przyszłość naszego narodu. Podczas konferencji Partii Pracy w Margate w 1947 r. zwrócona została uwaga na to, że w dotychczasowym budżecie sił roboczych nie został uwzględniony ponad 1 milion osób niepracujących a zdolnych do pracy, tak, że należałoby ze względu na ogólny - państwowy interes zastosować takie środki, które doprowadziłyby do zmniejszenia tej liczby.

W tym samym czasie przystąpiono we Włoszech do realizacji programu robót publicznych i odbudowy rolnictwa w celu rozładowania problemu nadmiernej ilości ludności. Jednakże z uwagi na trudności finansowe rezultaty tej polityki są znokome, tak że w obecnej chwili Włochy cierpią w dalszym ciągu na nadmiar ludności.

Wreszcie wspomnieć trzeba o zatrudnieniu znacznych ilości cudzoziemców w państwach Europy Zachodniej.

Osiągnięte w wyniku akcji poszczególnych rządów rezultaty są jednakże znikome w porównaniu do istniejących potrzeb. Szereg przyczyn składa się na ten stan rzeczy. Szkolenie zawodowe jest procesem, którego wyniki widoczne być mogą dopiero po upływie pewnego czasu oraz wymaga w wielu wypadkach stosowania środków przymusu przy skierowywaniu do poszczególnych zawodów.

Możliwości imigracyjne nie zostały również w pełni wykorzystane; (ze względu na stale istniejący kryzys mieszkaniowy oraz ze względu na niechęć robotników włoskich do imigracji). Niechęć ta jest spowodowana trudnościami, związanymi

z transferem zarobków emigrantów do kraju ojczystego.

Zastanówmy się obecnie nad wnioskami, jakie wypływają ze stwierdzenia faktu, że wszystkie państwa Europy Zachodniej (z wyjątkiem Włoch) odczuwają poważny brak sił roboczych. Z uwagi na duże rozmiary deficytu wydaje się wskazane zanalizować zagadnienie na tle ogólnych problemów ludnościowych Europy. Stwierdzić bowiem należy, że wyżej podkreślona niedostateczna podaż sił roboczych nie jest wyłącznie spowodowana poniesionymi stratami w ciągu dwóch wojen światowych i dezorganizacją ekonomiczną jaka miała miejsce w okresach powojennych. Do podstawowych przyczyn obecnego stanu rzeczy zaliczyć bowiem trzeba obserwowany od 50 lat spadek narodzin w wielu krajach, który to spadek znajduje swój wyraz w rozwijającym się procesie „zestarczania się” ludności państw Europy Zachodniej. „Zestarczanie się” występuje tym bardziej wyraźnie jeśli uwzględnimy spadek śmiertelności dzięki postępowi medycyny. W ten sposób ogólna liczba ludności nie uległa zmniejszeniu, a nawet zwiększyła się, z tym jednak, że ilość zdolnych do pracy ma stałą tendencję malejącą. Tendencja ta została oczywiście pogłębiona doznanyimi stratami w materiale ludzkim w latach 1914 — 18 i 1939 — 45.

Bezpośrednio przed wybuchem

drugiej wojny światowej stosunek procentowy ludności do lat 19-tu, w wieku od 20-tu do 59-ciu lat i powyżej 60-ciu lat przedstawiał się w niektórych państwach Europy jak następuje:

	0-19 lat	20-59 lat	60 lat i powyżej
Z. S. R. R.	46	47	7
Polska	43	49	8
Włochy	38	51	11
Szwajcaria	33	56	11
Niemcy	31	58	11
Belgia	31	57	12
W. Brytania	31	56	13
Francja	30	55	15

Na podstawie danych powyższych stwierdzić można, że ludność narodów słowiańskich jest — strukturalnie — „młodsza” od ludności ras anglosaskich i romańskich, które uległy w znacznie większym stopniu wpływowi teorii malthuzjańskiej. Jedynym wyjątkiem jeśli o Europę Zachodnią chodzi są Włochy, aczkolwiek i tu ludność jest „starsza” niż np. w Polsce czy Związku Radzieckim.

Co więcej, niekorzystny stosunek ludności w wieku młodszym do ludności w wieku starszym nie ma charakteru stanu przejściowego, gdyż jest wynikiem długofalowego procesu.

Niżej podana tabela ilustruje ewolucję jaka nastąpiła pod tym względem w niektórych państwach Europy od połowy XIX wieku począwszy:

		Ludność		
		0 — 14 lat	15 — 59 lat	powyżej 60 lat
Wielka Brytania	Rok 1860	37%	55%	8%
	„ 1930	24%	62%	12%
Francja	„ 1850	27%	63%	10%
	„ 1936	24%	60%	15%
Rosja	„ 1900	39%	54%	7%
	„ 1930	37%	56%	7%

Pomijając wszelkie rozważania natury politycznej stwierdzić obiektywnie należy, że — będąca rezultatem kilkudziesięcioletniej ewolucji — obecna sytuacja w zakresie struktury demograficznej nie jest czynnikiem pozbawionym znaczenia w ogólnej problematyce zagadnień dotyczących rozwoju gospodarczego i przyszłości Europy, tym bardziej, że rozdział Europy na „Zachodnią” i „Wschodnią” zostaje coraz to silniej zaakcentowany.

Realizowana w państwach Europy Zachodniej polityka pełnego zatrudnienia mobilizuje będące do dyspozycji siły robocze do przyspieszenia rozwoju gospodarczego. Kraje słowiańskie przestają być rezerwuarem sił roboczych dla Europy Zachodniej co miało np. miejsce na dość dużą skalę jeszcze przed wojną.

Nie należy, oczywiście przeceniać roli sił roboczych i wyciągać na podstawie powyższych uwag wniosek, że państwa Europy Zachodniej nie będą w możności doprowadzić do kwitującego stanu swych gospodarstw narodowych. Pamiętać bowiem musimy, że w chwili obecnej sytuacja nie jest jeszcze taka groźna oraz, że czynnik kapitału przy istniejących możliwościach technicznych zmniejszyć może w pewnym stopniu zapotrzebowanie sił roboczych.

Tym niemniej przedstawiona na przykładzie Z.S.R.R. i Polski (analogicznie rzecz się ma w wypadku Jugosławii, Bułgarii) „młodość” narodów słowiańskich, pozwala przypuszczać, że — w długofalowej ewolucji — przed tymi narodami stoją większe perspektywy na przyszłość.

Zapotrzebowanie sił roboczych		Nadwyżki	
w tysiącach pracowników			
Austria	18	Włochy	1995
Belgia, Luxemburg	67	Holandia	31
Francja	290	Cudzoziemcy	520
Wielka Brytania	120		
Szwecja	160		
Szwajcaria	73		
668		2546	

Z danych powyższych wynika, że istniejąca nadwyżka sił roboczych powinna bez trudności pokryć istniejące zapotrzebowanie. Możliwość ta jest jednak tylko teoretyczna, gdyż w praktyce znaczna część istniejącej nadwyżki sił roboczych nie należy do tak zw. zawodów bezpośrednio produkcyjnych (przemysł, rolnictwo, komunikacja), w których to właśnie zawodach daje się najbardziej odczuć deficyt w poszczególnych państwach. Na ogólne zapotrzebowanie 475 tys. robotników kwalifikowanych, nadwyżka będąca do dyspozycji oceniana jest na najwyżej 100 tys. W szczególności podkreślić trzeba niemożność pokrycia w drodze imigracji deficytu górników, wynoszącego około 60 tys. osób.

Uwzględnić również należy, że w owien odsetek istniejącej nadwyżki nie należy do żadnego zawodu, np. w wypadku Włoch ilość ta szacowana jest na około 500 tys. osób.

Wobec tego, że rozwiązanie problemu niedostatecznych sił roboczych nie może nastąpić w zupełności w drodze imigracji i zatrud-

nienia cudzoziemców znajdujących się na terenie Wielkiej Brytanii, Francji, Belgii i Niemiec Zachodnich — tak zw. Komitet Współpracy Europejskiej zaleca:

- 1) maksymalne wykorzystanie istniejących możliwości imigracyjnych,
- 2) przeprowadzenie akcji szkolenia zawodowego w państwach, w których brak sił roboczych jest ze względu na swe rozmiary czynnikiem hamującym rozwój gospodarczy (a więc przede wszystkim w Wielkiej Brytanii i we Francji).

Jak przedstawiają się rezultaty osiągnięte w tej dziedzinie w ciągu ostatnich kilku lat?

W pierwszym rzędzie wspomnieć trzeba o przedłużeniu czasu pracy. We Francji np. wprowadzony został 45 godzinny tydzień pracy wobec 39 godzinnego tygodnia w 1938 r., przy czym istnieje upoważnienie ustawowe do przedłużenia tygodnia pracy do 48 godzin, wówczas gdy zaoprowizowanie ludności w podstawowe artykuły żywnościowe będzie wy-

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

20

Stefan Kisielewski (Kisiel)

Na prowincji nikt nie jest sam: ludzie są za blisko siebie, zbyt określone mają dla siebie wzajemne znaczenie, zbyt blisko kurczowo niemal są o siebie zahaczeni, zbyt intensywny i nieprzerwany jest dramat, w którym grają główne role. Zaiste — prawdziwą samotność osiągnąć można tylko w kipiącym, różnobarwnym, zmiennym jak morze i zarazem niezmiennym jak morze odmięcie milionowego miasta; tam tylko zatonać można w tłumie, w ruchliwej, gwarnej, orzeźwiającej choć czasem i przerażającej obojętności życia ulicznego, w krzepiającej nieosobowości wielkomięskich rozrywek, w kinach, dancingach, barach — tam tylko można stać się na pewien czas człowiekiem bez twarzy, bez problemów, bez dramatów — bez konsekwencji — osiągnąć najcudowniejszy odpoczynek — niebity, Nirwane. Jest nowela Poe'go o człowieku, który istniał tylko w tłumie, tylko jako jeden z wielu tłoczących się na bulwarach, przed teatrem, cyrkiem, kinem — poza tym nigdzie go nie było, nigdzie nie mieszkał, nie miał prywatnego życia, nikogo nie znał. Takim Człowiekiem Tłumu można być na pewien czas w wielkim mieście — lecz na pewien czas tylko — jest to chwila wolny urlop od dramatu, w którym grać musimy wszyscy aż do śmierci — przedzie czy później życie się o ciebie upomni, a biada ci, gdyby się to nie stało. Zanim jednak to nastąpi — ciesz się antraktem, korzystaj z balsamu uspokojenia i spoczynku, jaki daje ci Miłonowe Miasto. Dopóki masz pieniądze — nikt cię tu o nic nie zapyta, możesz być pewien — chyba, że sam zateknieś za swoją osobowością i za dramatem, dramatem ludzkim, od którego mieszkańcy Prowincji nigdy nie mają urlopu. Dziwnie to naprawdę jest urządzone: milionowe miasto, mające wygląd Piekiła i idylliczne miasteczko prowincjonalne, oddychające na pozór spokojem i słodyczą — często zamieniają się w istocie rolami: strudzony wielkomięskim mechanicznym udreńciem mieszkaniem stolicy dąży do prowincjonalnego ukojenia, zaś sturtorowany czystym, zwyczajnym dramatem prowincji obywatel małego miasteczka marzy o uldze roztopienia się w ulicznej fall. Jeden i drugi w gruncie rzeczy pragnie urlopu — wszak na urlop zawsze dokądś się wyjeżdża: tam dobrze, gdzie nas nie ma.

Z tych wszystkich rzeczy nie zdawał sobie zapewne sprawy komisarz Gromel, gdy jadąc wiele godzin do miasteczka X... leniwie obserwował przez okno wagonu niezliczone kwadraski jesiennych pól, utrzymanych w spokojnych, nie krzyżujących, ciemnych barwach zmięzchu. Pojechał do X... w określonych celach, nie był zaś człowiekiem, którego by jakiekolwiek, choćby najbardziej urocze przełotne nastroje odwieść mogły od wyznaczonej przez obowiązek linii postępowania. Nie znaczy to wcale, żeby komisarz Gromel pozbawiony był wrażliwości na nastroje: najlepszy tego dowód właśnie, że znając się po wielu latach spędzonych w stolicy, na spokojnych brukach starego prowincjonalnego miasteczka na tyłmiast uległ urokowi i poezji tego miejsca; nie dowodzi to jednak z drugiej strony, aby zaniedbywał tutaj swoje czynności służbowe, przeciwnie, wykonywał je tym akurataniej; wyraźnie jednak poczuł, że po ogromnym wysiłku ostatnich dni coś w nim się rozluźniło, że otworzył się jakby na wszystkie wrażeń uboczne, które przedtem programowo był od siebie odsuwał, które przeskazywał mu tylko w napięciu, w jakim się znajdował i w jakim powinien być pozostać. Chłonał teraz całym sobą czar miasteczka, gdzie urodził się przed czterdziestu paru laty Ludwik Galard, miasteczka, po którego brukach i alejach stapały kiedyś zaradne, leciutkie nóżki dwóch pięknych córek owej zbiegłej z Hiszpanii rewolucjonistki, praczki Emilii Ibera. Chłonał poezję ogrodów, romantycznych motków ponad zarośniętą wiklinami rzeczką, malowniczość starych, przestronnych,

osłoniętych dzikim winem i bluszczem domostw, powagę przepięknego, gotyckiego kościołka, subtelny wdzięk zadumanych, jakby w kontemplacyjnej melancholii pogrążonych uliczek i nastrojowych, starych, nasiąkłych zapachem wina i piwnicy kawiarenek z panoszącym się zielonym stołem bilardowym — ach — z grającą szafą, która po wrzuceniu monety dyskretnie rozpyłała w głąb drzemiącej w fajczanym dymie salki słodkie tony staroświeckiego walczyka. Czyż może być na świecie cokolwiek miłszego nad taką muzykę?

Atmosfera wypoczynku i kontemplacji drobnych, dekoracyjnych szczegółów prowincjonalnego życia jednocześnie doskonale działała na odradzanie się w komisarsu wyobraźni, owego szóstego zmysłu, którego posiadanie i kształcenie należało przecież do jego obowiązków zawodowych. Gromel wiedział dobrze, że sprawa profesora Galarda, wymagająca ciągłego napięcia uwagi, stawiająca przed umysłem prowadzącego śledztwo wciąż nowe problemy, zaskakująca go co raz to nowymi, niebezpiecznymi sytuacjami i dziwnymi niespodziankami, przy tępiła nieco w nim działanie tego szóstego zmysłu, owej intuicyjnej władzy psychicznej, której tak mu często zazdrościli koledzy. Sprawa profesora Galarda — a raczej przebieg tej sprawy — nazbyt często komisarsa dezorientowały i irytowały — to zaś nie sprzyja nastawieniu „wewnętrzno wzroku” na największą ostrość widzenia. Oczywiście przeskazywały tutaj owe elementy polityczne, ów system agentów — prowokatorów, wnoszący do sprawy dwuznaczność, nie pozwalającą stanąć oko w oko ze zbrodnią. Lecz teraz, wydawało się komisarsowi, nadszedł moment, kiedy jego rola stała się najważniejszą, pozostał już jedynie czysty, izolowany problem zbrodni — zagadka jednoznaczna, konkretna. Obecnie należało skoncentrować władze psychiczne w celu odtworzenia przebiegu wypadków, tak jak historycy z paru skąpych słów kronikarskiego tekstu odtwarzają bieg dziejów, ba — nawet ich styl wewnętrzny, ich koloryt. Do tego potrzebna jest dedukcyjna logika i intuicja. A ta druga niespodzianie świetnie zaczęła rozkwitać w atmosferze staroświeckiej poezji prowincjonalnej.

O cóż teraz jeszcze chodziło? O problem, zdaniem komisarsa Gromela najistotniejszy — o problem zbrodni elementarnej. Republice nie groziło już śmiertelne niebezpieczeństwo, wynalazek profesora Galarda został unicestwiony (choćby komisarz Gromel zadawał sobie czasem pytanie, czy wynalazek ten w ogóle istniał kiedykolwiek, czy nie był jakąś, niewiedzącą skąd zrodzoną fikcją — kiedy indziej znów myślał przeciwnie — że wynalazek tkwił nadal gdzieś w ukryciu, zapisany i perfidnie schowany); wyrafinowani, dwuznaczni agenci doktor Alen i hrabia Randen wykonali wzorowo swoje zadania, najczynniejsi przedstawiciele dwóch zbrodniczych organizacji podziemnych znaleźli się w więzieniu, bądź, jak Malton, na tamtym świecie, zdekonspirowano i rozbrojono duże ważne kwatery przestępcze; mimo to wszystko, pozostała jeszcze kwestia, zdaniem komisarsa dla policji najważniejsza: kto zamordował profesora i Luizę Lore? Komisarz miał co do tego zdecydowaną koncepcję, miał ją już od poniedziałku po zabójstwie — pierwsze morderstwo, przypominamy sobie, dokonane zostało w sobotę. Lecz koncepcja ta opierała się tylko na — dość wyraźnych zdaniem Gromela, ale jednak tylko — poszlakach. To za mało, aby zdobyć pewność, to za mało, aby postać człowieka na szubienicę. Należało użyć dowód, jakieś zeznanie — konkretne, wskazujące na zbrodnię. Radca Pikron po owej piekielnej nocy i po — problematycznym właściwie — rozładowaniu sprawy zaszyfrowanego wynalazku, pozostawiając dalsze jej prowadzenie Gromelowi, Komisarz z jednej strony bardzo był z takiego obrotu rzeczy zadowolony, z dru-

giej jednak gorszyło go to zdecydowanie: był to jego zdaniem uderzający przykład niewłaściwego stosunku Policji Politycznej do pracy śledczej i do prawa — interesują się tymi rzeczami jedynie o tyle, o ile im to jest potrzebne do załatwienia własnych spraw — a przecież poczucie praworządności i sprawiedliwości winno we dnie i w nocy przepajać całkowicie myśli i zamiary ludzi, którzy poświęcili się służbie dla Republiki. Prawo jest jedno dla wszystkich. W bagatelizującym stosunku do zbrodni, jeśli nie groziła ona politycznej równowadze Republiki widział komisarz echa poglądu Alicji Dillon, że zbrodnia niczym się nie różni od wojny. Tutaj był zgubny błąd moralny: zbrodnia indywidualna różni się od wojny, polityka zresztą nie jest wojną, zaś zbrodnia jest zawsze zbrodnią i żadne względy nie mogą nas oswobodzić od bezkompromisowej walki z nią.

Radca Pikron, jak wspomnieliśmy, mało interesował się już śledztwem, prowadzonym przez komisarsa — raz tylko wyraził swoją opinię, jeśli chodzi o sprawców zabójstwa. Jego zdaniem mogła tego dokonać jakaś pomniejsza tajna organizacja, od których roziło się w stolicy, mogła to również być sprawa prywatna — profesor miał wielu wrogów. Jeśli chodziło o Luizę Lore z domu Ibera, radca podejrzewał, że padła ona ofiarą sądu partyjnego. Coprawda nie potwierdzało się to w zeznaniach uwiezionych członków „Świata Nowego”. Jeśli chodzi o owych aresztowanych działaczy obu organizacji, to o zamordowanie profesora Galarda oskarżali się oni wzajemnie: Alicja Dillon twierdziła, że zrobił to Hagewand, Hagewand składał winę na „Świat Nowy”. Nie potwierdzało się to jednak w zeznaniach obu agentów: Alena i Randena, z którymi coprawda komisarz nie miał ostatnio wiele okazji do rozmów. W sumie: galimatias jakich mało.

Lecz komisarz Gromel, jak się rzekło miał swoją koncepcję i to miał ją od dawna. Potrzebował jedynie — faktów, konkretnych faktów. Poszlak zgromadził dosyć — brakło faktów. I tu właśnie, w starym, romantycznym miasteczku spodziewał się zdobyć wieści o tych faktach. Trzydniowy urlop, udzielony mu przez pułkownika Norda wyszukać postanowił na odtworzenie historii pewnego dramatu, który rozgrywał się na przestrzeni dziesiątków lat, na wyłowienie z mglistej tkaminy czasu owej młki przewodniej, owej kanwy, która doprowadzić go miała do celu. Tu, z daleka od stolicy, był klucz zbrodni, popełnionej w Dzielnicy Północnej, tu, wśród najwęższych uliczek i zacisznych kawiarenek toczyło się najważniejsze śledztwo komisarsa Gromela.

Nie na wiele niewątpliwie przydały się odwiedziny, jakie komisarz złożył Paulinie Galard, matce profesora. Była to staruszka już niemal nieprzytomna, pozbawiona kontaktu ze światem zewnętrznym, jakaś nieobliczalna resztką człowieka. Nie wiadomo nawet, czy śmierć syna doszła do jej świadomości, chociaż na dźwięk jego imienia płakała gorzko i rozpaczliwie, jak skrzywdzone dziecko. Ludwik, Ludwik — powtarzała, zachłystując się płaczem, lecz potem znowu mówiła o nim jak o kimś żywym. Opiekował się nią stary, małowówny kuzyn, który nic nie wiedział i nic nie chciał wiedzieć, a także odwieczne służące, zgrzybiałe, chore, dziwaczne. Cały ten dom w ogóle był jedną pamiątką, zwiędłą i uschlą wiazką liści na grobie przeszłości.

Mimo to komisarz Gromel wciąż zbierał materiał. Z urwanych półsłówkow starzych służących, ze znaczących spojrzeń, z przelotnych rozmów, ze wspomnień sklepikarki, ogrodnika, przygodnego przechodnia nawet wstawała przeszłość, jakby elementy jej roztłane były w powietrzu i żyły tu i ówdzie w starych murach, uliczkach i ogrodach. Błąkał się tu cień, echa głosu, refleksy czynów fascynującego, pełnego ognia i uporu młodzieńca, chluby, tutejszego Liceum, ulubieńca

miasta i najsławniejszego jego obywatela — Ludwika Galarda, syna miejscowego aptekarza. Z mgieł i oparów niepamięci wstawała uboga lecz malownicza i czystościutka izdebka na poddaszu praczki Emilii Ibera, wdowy po rewolucjonście, matki dwóch pięknych, czarnoookich córek. I krok po kroku, etap po etapie, utrwalał nie wiedzieć gdzie i jak wstawał z kurzu zapomnienia i nabierał żywych barw ów zakazany, gorszący całe miasto romans między obiecującym synem aptekarza, niejakim przywódcą miejscowej młodzieży tej „z aspiracjami” a piękną, małowówną, młodszą córką praczki Luizy, romans zakończony skandalicznym wyjazdem dziewczyny wraz z młodszym studentem do stolicy. A obok tego romansu tragedia wzgardzonego narzeczonego Luizy, Edwarda Lore, szofera, z pochodzenia Francuza, również emigranta politycznego, przeznaczonego przez matkę dziewczyny na męża Luizy. Chciał zabić rywala, później zamierzał sobie odebrać życie, wreszcie pojechał za młodą parą do stolicy, słuch o nim zaginął na długie lata. O tym, że został on wreszcie mężem Luizy słyszano w X... coś nie coś, przypominała o tym opisywana w stołecznych gazetach zbrodnia, zamordowanie „dozorczyni Luizy Lore”, lecz z drugiej strony sprawę usunęła w cień tragiczna śmierć samego profesora Galarda, chluby miasta i okolic, „Ludwisia od aptekarza”. Mówiono o tym dużo — pewno u źródeł tego zabójstwa tkwiła jakaś polityka, syn aptekarza zawsze „coś tam spiskował” — o, w ogóle niespokojny to był duch, chociaż opamowany i skryty, ale zawzięty, jak mało kto — dobrze, że stary aptekarz nie doczekał tej chwili, zmarł dobre parę lat temu, jeszcze w czasie wojny. Zmarła też już dawno praczka Emilia Ibera, a starsza córka, Henrieta, nie taka ładna jak młodszą, lecz również niczego sobie, znikła w świecie, jak kamień w wodzie — wyjechała ona z X... jeszcze przed całą historią, ale przyjeżdżała odwiedzać matkę — dopóki ta jeszcze żyła. Potem już jej nie widziano. Czas płynie, młodzi się starzeją, starzy wymierają — taki to już los na tej ziemi, nikt na to nic nie poradzi...

Komisarz wahał się bez celu pozornie, wchłaniał kojące piękno miasteczka, brodził w alejach parków i ogródków po kostki w jesiennych różnobarwnych liściach kasztanów, lip i klonów, zachodził tu i ówdzie „na jednego”, oparty o wielki szynkwias wysłuchiwał spokojnie płynących miejscowych plotek, pozornie obojętny, bez troski, rozleniwiony — w istocie kształtował oto i budował w swoim wnętrzu rekonstrukcję wypadków dawno minionych, ożywiał je w sobie, ba — czuł nawet ich barwę, koloryt, nastroj — jakby żył wtedy, jakby był ich świadkiem. Poznał ich tło zewnętrzne, podeptał własnymi nogami wszystkie miejsca, kamienie brukowe, po których stapał bohaterowie tej dawnej, romantycznej historii, to dużo znaczy, to pobudza wyobraźnię.

Trzeciego dnia pobytu w X..., jesiennym, pogodnym, niebieskawym popołudniem komisarz Gromel zaszedł do ulubionej, stylowej kawiarenki z bilardem i grającą szafą. Było tu szaro i pusto, światła jeszcze nie zapalono, nie było właściwie dla kogo, przy sąsiednim stoliku jedynie siedział jakiś bardzo stary, siwy pan z wygasłą fajeczką w zębach, wpatrując się spokojnym, nieruchomym spojrzeniem, ponad rozłożoną wielką płachtą stołecznej gazety, w przecięwległą ścianę, na której zawieszono były jakieś sielskie amielskie obrazki. Komisarz po raz trzeci już wrzucił monetę, aby usłyszeć pozytywkowe dźwięki starego walczyka, który rego tak bardzo lubił, gdy nagle starszy pan wyjął fajeczkę z ust i przemówił niętym, drżącym nieco głosem.

— Widzę, że lubi pan taką muzykę?

— Rzeczywiście, bardzo lubię — odrzekł uprzejmie chętny do każdej rozmowy komisarz.

— Ten walc przypomina dawne, bardzo dawne czasy — pana jeszcze wtedy na świecie nie było — ciągnął dalej starszy, wpatrując się nadal w zawieszony na ścianie obrazki. — Pan nie tutejszy, prawda?

Gromel potwierdził.

(d. c. n.)

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

W związku z artykułem Jerzego A. Górskiego p.t. „Troska materialna młodzieży”, zam. w nr. 1 (110) naszego pisma otrzymaliśmy informacje z Min. Oświaty, które poniżej podajemy

POMOC DLA MŁODZIEŻY SZKÓŁ WYŻSZYCH

Sumy przeznaczone na pomoc dla studentów w stosunku do całości wydatków w budżecie Min. Oświaty. (przed wojną i w 1947 r.)

okres budżetowy	1939/40	1947
Wydatki na pom. studentom	1.684.000	571.895.000
Budżet Min. Oświaty	399.396.520	19.592.707.000
Stosunek w %	0,42%	2,9%

II. Pomoc państwowa

a) Stypendia Min. Oświaty — 4.620 styp. w wys.	3000 — 4000 zł.
Stypendia inn. M.nist. — 5722 styp. w wys.	3000 — 5000 „
Razem: 10.342 styp. na ogólną sumę 31.795.000 zł. mies.	
b) Pomoc żywnościowa (subwencje na stołówki)	249.000.000 „
c) Pomoc zdrowotna (ośrodki zdr. lecz. szp.)	19.200.000 „
d) Pomoc naukowa (wydawnictwa skryptów, bibl.)	21.300.000 „
e) Zasiłki na wychowanie fiz. i sport.	9.600.000 „
f) Zasiłki dla organ. ideowo-wych. kół nauk i inn.	17.100.000 „
g) wczasy studenckie	46.800.000 „
h) stypendia i zasiłki	120.000.000 „
R a z e m	483.000.000 zł.

(pozycje od p. b — h obejmują tylko budżet Min. Oświaty).

Ministerstwo Zdrowia poza stypendiami, subsydiuje ośrodki zdrowia. pomocy Lekarskiej dla studentów, wydając rocznie na ten cel 25.000.000 złotych. Stanowi to razem z subwencjami Ministerstwa Oświaty 44.800.000 złotych.

Ministerstwo Zdrowia utrzymuje również sanatorium dla studentów chorych na gruźlicę w Zakopanem (500 łóżek).

III. Pomoc społeczna

Towarzystwo Przyjaciół Młodzieży Szkół Wyższych w r. akad. 1946/47 wypłaciło 2.500 stypendiów na ogólną sumę 30.000.000 zł.

Inne rodzaje pomocy (tylko zasiłki finansowe) wyniosły 12.500.000 zł. Dochód z „Tygodnia Studenta” zorganizowanego w listopadzie 1947 r. 13.348.000.

DO RED. „DZIS I JUTRO” „TROSKA MATERIALNA MŁODZIEŻY”

Tygodnik „Dziś i Jutro” podaje artykuł Jerzego Górskiego o powyższym tytule, w którym autor rozpatruje ciężkie położenie materialne młodzieży akademickiej i wysuwa wskazania, jakie wyprowadziłyby z impasu trudne położenie uczące się młodzieży. Autor pisze, że młodzież głoduje, że stan odzieży i ubiora jest niżej krytyki, że młodzież przychodzi do szkoły z chorobami takimi, jak gruźlica, a wreszcie grasują tu choroby sekretne.

Odwołuje się autor do Majdańskie go, który miałby uderzyć całe społeczeństwo pałką po głowie, bo tak być dłużej nie może i nie powinno. Nie możemy czekać aż dobrułiwi Szwedzi czy Duńczycy będą leczyć i karmić naszą młodzież. Zaleca wreszcie autor walkę o moralność młodzieży, bo spadek jej posunięty dość daleko. Kończy Jerzy Górski wezwaniem, że na walkę nie jest za późno, trzeba tylko okazać stanowczość. Publicysta nasz podchodzi do sprawy obiektywnie, rozpatruje ją wszechstronnie i nie można powiedzieć, by nie miał racji; w jego wywodach całkowita jest prawda.

Ale odwróćmy teraz medal na inną stronę i popatrzmy, co się święciła i nieco z innego punktu widzenia. Sprawy możemy osądzić w ten sposób — do tego, co społeczeństwo dziś daje, może dodać bardzo już niewiele.

Jesteśmy krajem zniszczonym przez wojnę; tak miasta, jako też i wioski zubożały w czasie okupacji. Popatrzmy na miasta, brak mieszkań, dachu nad głową, tu trzeba dać pomoc, by jakiś kątek dla rodziny utrzymać.

Wiesi niemierniej uciierała; brak tu inwentarza, przeważają się neurodyzja. Jeżeli wiesz potraktujemy jako fundament państwa, to nie można nie zauważyć, że wiesz jest w trudnym położeniu, co wygląda już stąd, że zboże musimy importować z zagranicy; rolnik nasz kupuje chleb. — Miasta dość są obciążone wydatkami na szkolnictwo, bo to różne imprezy i obchody dobroczynne — tydzień akademicki i inne zabierają sporo pieniędzy. Nie żyje się znowu tak dobrze grypiorokom, bo to pensje i wiecej niż skromne, a dodatki małe, stąd też narzekania i dopominania się przez Związek Zawodowy o poprawę uposażeń. A zatrudwimy do polskich emerytów i ich rodzin; pobierała emercvi 1500. 2000 zł. miesięcznie. Biblijny Salomon ma klo-

pot, bo nie potrafi z ołowieczkiem w ręku obliczyć jak rodzina emeryta wyżyje z takich poborów.

Rezumując powyższe, pod hodźmi do sprawy, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, że kraj nasz niewiele może dodać. W miarę jednak, gdyby koniunktura ogólnie uległa poprawie, społeczeństwo nie odrzucił nawiolywać naszej młodzieży i podzieli się z nią każdym groszem.

W zakończeniu pozwolmy sobie zwać naszą młodzież do wytypowania chorób sekretnych. Narazona jest na szwank skromność, którą na si dziadowie odpowiednio respektowali. Młodzież nasza winna wejść na właściwą drogę i nią kroczyć.

Wincenty Chmielewski

Szanowny Panie Redaktorze!

Od pewnego już czasu stopniowo słabnie zainteresowanie się kwestią zasadniczą, jaką jest dla nas zorganizowanie życia katolickiego. Problem, zdawałoby się, może nieosiągalny do zrealizowania w obecnej sytuacji w Polsce, ale sądzę, że katolicy powinni nad tym zastanowić się poważnie i wyjść z dotychczasowych pozycji raczej defenzywnych na płaszczyznę zdecydowanej akcji ofenzywnej. Podstawowym warunkiem do urzeczywistnienia tych zamarów jest uświadomienie sobie roli katolicyzmu dla narodu w ramach Polski Współczesnej, z którą trzeba (bo to jest konieczność polityczna) współpracować, jeśli się chce osiągnąć konkretne rezultaty. Nie można pozwolić katolikom, aby ograniczyli się jedynie do praktyk religijnych i co najwyżej pracy ideowej w zaciśniętym domowym. Tu jest fatalny błąd, który często katolicy popełniają. Na nas spoczywa odpowiedzialność, aby wytknąć błędne rozumowanie naszych przeciwników ideowych i udowodnić, że tworzymy własny światopogląd, oparty na sprawiedliwości społecznej i na najnowszych zdobyczach nauki filozoficznej i empirycznej. Zadania tego podjęła się obecna prasa katolicka i trzeba przyznać, że największą rolę w tej walce ideologicznej odegrały grupy katolickie „Tygodnika Powszechnego” i „Dziś i Jutro”.

Nie mam zamiaru analizować dorobku myślowego tych czasopism, gdyż, jeśli chodzi o „Dziś i Jutro”, znajdziemy bilans tej działalności w 104 nr z okazji dwuletniej pracy publicystycznej, ale raczej chodzi mi o wykazanie, że aktywność katolicka powinna się potęgować, nie za-

sklepiać się jedynie do polemik prasowych. Swego czasu dyskutowano dużo na temat — czy założyć własne stronnictwo katolickie — postępowe, czy też szukać rozwiązania na innej drodze. Od tego momentu upłynęło wiele czasu i nie jeden z nas doszedł do przekonania, że chociaż własna partia katolicka jest podstawowym warunkiem udziału aktywnego katolików w życiu państwowym, to jednak ocena sytuacji wykazała, że na razie należy ograniczyć się do ekspansji nie tyle politycznej, ile raczej społeczno-ideowej. Jednym z terenów walki jest prasa katolicka, lecz to jest za mało nawet na nasz program umiarkowany.

Trzeba znaleźć sposobność do pogłębiania naszej działalności.

Przypatrzmy się życiu stowarzyszeń katolickich. Istnieje ich pewna ilość, starają się w miarę swych możliwości nieść społeczeństwu pomoc kulturalną czy charytatywną, ale brak im prężności i rozmachu. Musimy zaktywizować dotychczasowe organizacje katolickie! Jak to uczynić?

Otóż uważam, że pierwszym etapem naszej akcji powinno być skonsolidowanie ruchu katolickiego przez połączenie wszystkich dotychczasowych stowarzyszeń o obliczu ideowo katolickim. Połączenie to powinno polegać na wytworzeniu dwóch, ściśle działających grup — na organizacji młodzieżowej i organizacji dla pracujących już zawodowo, dojrzałych obywateli. Pierwsza grupa uaktywni się jako Zjednoczenie Katolickiej Młodzieży, druga grupa jako Naukowe Społeczny Klub Katolicki ze względu na swój charakter działalności społecznej i intelektualnej, a nie politycznej. Dopiero taka reorganizacja pozwoli na działalność skoordynowaną o wyraźnym dynamizmie. Krótko mówiąc, celem takiej akcji byłoby zorganizowanie młodzieży o wyraźnej postawie katolicko-ideowej, aby w ten sposób — po pierwsze: wciągnąć ją do pracy społecznej (bo dotychczasowe organizacje mł. dziełowe o charakterze społecznym są na ogół tendencji marksistowskich), — a po drugie: dzięki wzmocnionej pracy ideowo-wychowawczej wytworzyć typ katolika uświadomionego, wyznającego zasady chrystianizmu i wypływające z tej doktryny zasady postępowo-społeczne. Krótko reasumując — walka katolików zmierza do zapewnienia ich doktrynie należytego miejsca, a z drugiej strony do współpracy z Państwem na tym odcinku, gdzie chodzi o szczerzy postęp społeczny (miejmy nadzieję, punkt zgodny z marksistami, choć różnie interpretowany).

To są podstawowe zagadnienia współczesnego katolicyzmu w Polsce. Pozwazanie pałających problemów leży w naszych możliwościach, a czynnik rządzące powinny obiektywnie rozpatrzyć nasze postulaty. Wierzymy, że po ostatnim exposé prem. Cyrankiewicza, nastąpi zagwarantowany prawami, rozwój katolicyzmu społecznego w Polsce, do którego powinno się przyczynić szczególnie „Dziś i Jutro”, głoszące hasła postępu społecznego.

Z poważaniem

J. D.

Do

Redaktora „Dziś i Jutro”
Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 5 (114) Pańskiego poczytnego pisma ukazał się artykuł p. t. „Książka nie dla recenzentów”, w którym p. Jan Dobraczyński z właściwym sobie nieśmiałym wdziękiem popełnił błąd natury lingwistycznej.

Pisze drogi pan Jan: „dla 23 zgrzyliwych osobników, posiadających „hobo” zbierania książek z dedykacjami...”. Odniosłem wrażenie, że słowem „hobo” usiłował Dobraczyński wyrazić pojęcie manii, pasji, nabożczy zamiłowania. Owszem, w języku angielskim istnieje słowo „hobo” okrywający i skupiający w sobie wszystkie te pojęcia, brzmienie jednak „hobby” i tak powinien być pisany. Nato-

mał wyraz „hobo” ma całkowicie różne znaczenie i używany jest w gwarze północno-amerykańskiej, t. zw. „siang’u”, dla określenia trampy, włóczęgi kolejowego. Jako źródło w tej dziedzinie służyć może tom noveli Jacka Londona p.t. „Na szlaku”, oraz słynna piosenka Louisa Armstronga p.t. „Hobo.You can’t ride this train...”

Z sympatią
Leopold Tyrmand

DO RED. „DZIS I JUTRO”

W powojennym ruchu wydawniczym nawet powierzchowny obserwator zauważył ostatnio widoczne zmiany na lepsze. Wykrył w tym chaosu początkowej tymczasowości, i krótkowzrocznego rzucania się na każdą nowość i z demagogicznego schlebienia gustom i guścikom „przeciętnego odbiorcy” zasadniczy kierunek ruchu wydawniczego, który można określić dwoma hasłami: „udzielać jak najszybciej głos literaturze współczesnej” i „odrabiać braki wojenne, zapelniać lukę jaką tworzy brak drukowanych przed wojną a zniszczonych przez wojnę pozycji”.

Jeżeli pierwsze hasło realizowane jest prawie bez zarzutu (prawie, bo zdarzają się jeszcze niestety i wydania książkowe różnych — nomina sunt diosa — pitigrillo — dello courstmahlerów i makabryczne tomiki poezji grafomanów czystej wody), o tyle drugi postulat, realizowany w t.zw. akcji wznowień musiałby się obronić przed wieloma zarzutami, z których najważniejszym jest niekonsekwencja.

Dlaczego np. doczekali się wtórnej edycji bracia Mazanowscy, a na próżno marzy się o jedenastym wydaniu podręcznika historii literatury Ignacego Chrzanowskiego, którego egzemplarze z dziesiątego poprawionego i uzupełnionego przez autora wydania są nieosiągalne po zniszczeniach wojennych? Dlaczego z dwóch części pracy Ignacego Fika wydano akurat tę mniej potrzebną, wznowienie zaś części traktującej o dwudziestoletni międzywojenny, zwięzłej, ciekawej i w dobie stawiania „na cenzurowanym” omawianego w niej okresu tak aktualnej odłożono ad terminum infinitum? Dlaczego nie widzimy na półkach żadnych wznowień Irzykowskiego? Czy np. „X muza” nie wyprowadziłaby z impasu polskiej myśli kinofikacyjnej?

Dlaczego...

Ale dajmy spokój. Pytania dotyczące pozycji chociażby pół-naukowych są jeszcze, jeśli chodzi o wznowienia pytaniami raczej retorycznymi.

I nie o te pozycje mi chodziło tym razem. Wspomniałem je (przykładowo tylko) z błogą nadzieją, że stanie się może sprawa takich wznowień tematem jakiegoś „zasadniczego” artykułu jakiejś uznanej „firmy” publicystycznej, co by pomogło w pewnym stopniu do rozwiązania, a przynajmniej do skonkretyzowania problemu, jaki reprezentuje.

Jako „szary obywatel” chciałem wspomnieć o jednym tylko nazwisku niesłusznie w obrachunkach wydawców powojennych zapomnianym.

Myślę o Stefanie Kwaśniewskim, psującym przed wojną felietony w „Wieczorze warszawskim” pod popularnym pseudonimem „Quasa”. Zbiór tych felietonów wydanych przed wojną p.t. „Sposób na żonę” stanowi obok tomów Wiecha najlepsze osiągnięcie tego odcinka literatury, który granicząc z satyrą i publicystyką ma swój odrębny charakter i znaczenie. Kulturalny i dowcipny pisarz, jakim był niewątpliwie „Quas” zdążył wypracować styl własny, własną technikę felietonową, a co najważniejsza, własną, oryginalną postawę humorystyczną. Z tym wszystkim — niech mi entuzjasti Wiecha wybaczą (sam zresztą do nich należy) — stworzył typ felietonu znacznie głębszego i kulturalniejszego i lepszego literacko od wspaniałych mimo tego zdystansowania „kawałków” twórcy Walerego Watróbki. Wydaje mi się, że wznowienie „Sposobu na żonę” byłoby podjęciem szczęśliwym pod względem i kulturalnym i społecznym a także — to nie kłówa pod adresem wydawców, ale zachęta — finansowym.

Kreślę się z poważaniem
B. L.

Nadesłano

WYDAWNICTWO H. PRZEWORSKIEGO.

Guy de Pourtales. ZYCIE LISZTA. Słowem wstępny opatrzył Jarosław Iwaszkiewicz, przekł. Halina Wierzyńska, str. 284. Warszawa 1948.

WYD. ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH, Wrocław, 1947.

Młoda Polska: WYBÓR POEZJI. Oprac. Tadeusz Żeleński (Boy). Wyd. II, str. LVI + 2 nłb. + 474.

ZAKŁADY WYDAWNICZE B. MATUSZEWSKI, Warszawa, 1947.

Józef Nikodem Kłosowski: MGLA, str.

W. NAGŁOWSKI I S-KA, Częstochowa, 1947.

Józefowicz Marian: PRZEDZIWNIE WEDRÓWKI HACUSIA.

Leighton Robert: KIDDI, DZIECIE OBOZU. Tłum. O. Małkowskiej, wyd. II.

WYD. E. KUTHANA, Warszawa, 1947.

Dunarowski Władysław: LEZĄC KRZYŻEM. Powieść, str. 280.

Dunarowski Władysław: DNI OCZEKIWANIA. Sztuka ludowa w trzech obrazach. Biblioteczka teatralna, str. 44.

WARSZAWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA „SYRENA”, Warszawa, 1947.

Remigiusz Kwiatkowski: PARASOL NOŚ I PRZY POGODZIE... Przekłady aforyzmów wschodnich. Wydanie wznowione, str. 126 + 1 nłb.

NAKŁADEM T-WA NAUKOWEGO K. U. L., Lublin, 1947.

Roman Szczyk: LUDNOŚĆ LUBLINA W LATACH 1853 — 1860. Praca doktorska. K. U. L. Rozprawy Doktorskie, Magisterskie i Seminaryjne. IV Wydział Nauk Humanistycznych. Tom 6, str. 8 nłb. + 152.

Łoś Jan Stanisław: WARUNKI BYTOWANIA LUDNOŚCI POLSKIEJ NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH. T-wo Nauk. K. U. L. Wykłady i przemówienia. Nr 27, str. 36.

Winowski Leszek: STOSUNEK CHRZEŚCIJAŃSTWA PIERWSZYCH WIEKÓW DO WOJNY. T-wo Naukowe K. U. L. Rozprawy Wydziału Nauk Społecznych, str. 172 + VIII.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA”, Warszawa, 1947.

Mortkowicz - Olczakowa Hanna: DZIEŃ KRYSI. III wydanie.

Norwid Cyprian Kamil: POEZJE WYBRANE. Opr. Mieczysław Jastrun. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych. Nr 28. Pod red. Kaz. Budzka, str. XXII + 2 nłb + 120 + 4 nłb.

Gieysztor Aleksander, opracował: ŚLĄSK I POMORZE W DZIEJOPI-SARSTWIE POLSKIM WIEKÓW SREDNICH. Str. XX + 50 + 2 nłb. Biblioteka Pisarzy Pol. i Obcych. Nr 26.

Niemcewicz Julian Ursyn: SPIEWY HISTORYCZNE. Oprac. Zdzisław Libera. Str. XIV + 106 + 2 nłb. Bibliot. Pisarzy Pol. i Obcych. Nr 27.

Fuczik Julian: REPORTAŻ SPOD SZUBIENICY. Tłum. H. Gruszczyńska-Dubowa. Str. 112.

Kopankiewicz Zygmunt: NOWE SĄDY UBEZPIECZEŃ SPOŁECZNYCH. Biblioteka Komisji Centralnej Związków Zawodowych w Polsce. Z przedmową Włodzimierza Sokorskiego, str. 68.

Niemski Kazimierz: TEORIA I TECHNIKA KSIĘGOWOŚCI PRZEDSIĘBIORSTW. Studium dla słuchaczy szkół wyższych, kierowników przedsiębiorstw i księgowych, str. 412.

„LECHIA” ŚLĄSKA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA, Katowice, 1947.

Hawrych Józef: HOTEL LOMNITZ. Z tajemnic szefa wywiadu, str. 178.

KSIĘGARNIA WŁ. WILAK W POZNANIU, 1947.

Skalski W.: ZASADY INWENTARZOWANIA I BILANSOWANIA W PRZEDSIĘBIORSTWACH PRZEMYSŁOWYCH, HANDLOWYCH, PAŃSTWOWYCH, SPÓŁDZIELCZYCH I PRYWATNYCH. Wyd. siódme zaktualizowane. Str. 178.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyński.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 13, tel 880 21-Konto P.K.O. — Nr 1 727

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz niedziel i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 8.

Wydawca Kolegium Redakcyjne

Przenumerata miesięczna 30 złotych Kwartałna 180 złotych

B-45335